Nr. 6 CENA (PRIX) 3 Frs

En page 6 : EXTRAITS ET RÉSUMÉS, EN FRANÇAIS, DES ARTICLES PARAISSANT DANS CE NUMÉRO

Wiadomości Polskie

LES NOUVELLES POLONAISES

HEBDOMADAIRE

POLITYCZNE I LITERACKIE

TYGODNIK

ROK I. — NR. 6. — PARYŻ, NIEDZIELA 21 KWIETNIA 1940

REDAKCJA I ADMINISTRACJA

PARIS,
52, avenue des Champs-Elysées,
app. nr. 376. Tel.: ELY 64-46.
Metro: Marbeuf.

Codzień w g. 10—12 i 15—19.

Konto **w Banku Polskiej Kasy Opieki** (23, r. Taitbout) **nr. 72.**

CENA PRENUMERATY:

We Francji kwart. **35 fr.**, półrocz. **65 fr.**, rocz. **125 fr.**
(W Paryżu prenumeratę można zamawiać telefonicznie)

Zagranicą kwartalnie: w Anglji 6 s. 6 d., w Belgji — 8 belgów, w Danji, Norwegji i Szwecji — 7 koron, w Holandji — 3 floreny, na Litwie — 6 litów, w Palestynie — 45 piastrów, w Rumunji — 400 lei, w Szwajcarji — 7 fr. szwajcarskich, na Węgrzech — 8 pengö, w Stanach Zjednoczonych i w pozostałych krajach — 1.50 dolara.

JAN SASSE

WOJNA ZACZĘŁA SIĘ W GDAŃSKU

Krążownik „Schleswig-Holstein"

Od chwili odłączenia na podstawie traktatu wersalskiego Gdańska wraz z jego okolicą od Rzeszy Niemieckiej i nadania mu charakteru wolnego miasta, Rzesza, niezależnie od innych kroków, podejmowanych w celu utrudnienia Polsce korzystania z praw przysługujących jej w porcie gdańskim i na terenie wolnego miasta, usilnie starała się o podtrzymywanie kontaktu ludności niemieckiej Gdańska z armją i flotą niemiecką. Kontakt z armją był uciążliwy i dawał się utrzymywać jedynie w formie wysyłania do Gdańska na krótsze czy dłuższe okresy niemieckich wojskowych, pod pozorem odwiedzin lub pobytów wakacyjnych. Natomiast kontakt przy pomocy floty, jak wiadomo, jedynie częściowo zniszczonej po porażce Niemiec w 1918 r., był stosunkowo łatwy do zrealizowania. Jednakże przy nastrojach, jakie panowały w stosunkach między Polską a Niemcami w latach 1918—1934, nie doszło do odwiedzin floty niemieckiej w porcie gdańskim wobec negatywnego stosunku Polski, upoważnionej do prowadzenia spraw zagranicznych Gdańska i reprezentowania go na zewnątrz. Takie stanowisko Polski było w pełni uzasadnione okolicznościami, w jakich odbywało się korzystanie przez Polskę z praw przysługujących jej w porcie gdańskim, obawą niepokojów i brakiem konkretnych rygorów prawnych i faktycznych w wypadku poważniejszych incydentów z okazji odwiedzin jednostek floty wojennej Rzeszy.

Po r. 1933, a w szczególności z chwilą objęcia stanowiska prezydenta senatu wolnego miasta Gdańska przez Rauschninga, z nastaniem ery poprawniejszego stosunku Gdańska do Polski, gdy również stosunek Rzeszy do Polski przynajmniej na zewnątrz uległ daleko idącej zmianie na lepsze, powstały warunki, w których czynniki polskie nie miały możności trwania na stanowisku zdecydowanie negatywnem wobec sugestyj niemieckich, dotyczących odwiedzin jednostek niemieckiej floty wojennej w Gdańsku. Niezależnie od tych przyczyn, natury niejako politycznouczuciowej, będących konsekwencją polityki polsko-niemieckiej lat 1933—1938, również względy polityki europejskiej Polski, wyrażającej się w manifestowaniu na zewnątrz normalizacji wzajemnych stosunków polsko-niemieckich, trwałej i nie podlegającej wstrząsom, jako logiczną konsekwencję musiały mieć zmianę poprzedniego negatywnego stosunku Polski do kontaktów Gdańska z Rzeszą. A kontakty te stały się dla Rzeszy szczególnie ważne w tym okresie, gdy rozpoczęte w r. 1934 likwidowanie całego zespołu stronnictw politycznych w Gdańsku, na korzyść jedynej partji niemieckiej narodowosocjalistycznej, dobiegać poczęło punktu kulminacyjnego. Następują kolejne odwiedziny niemieckich okrętów wojennych w latach 1936, 1937 i 1938. Gośćmi są krążowniki «Leipzig» i «Königsberg» i flotylla mniejszych jednostek wojennych.

Procedura odwiedzin była zawsze identyczna, podobnie ich protokół, w bardzo specyficznych warunkach gdańskich odbiegający od protokółu podobnych wizyt w innych państwach.

Każde odwiedziny poprzedzało złożenie przez ambasadę niemiecką w Warszawie noty, zawierającej prośbę o wyrażenie w porozumieniu z senatem wolnego miasta Gdańska zgody na odwiedziny okrętu wojennego Rzeszy w porcie gdańskim. Po zasięgnięciu opinji senatu, która rzecz prosta, wypadała pozytywnie, Polska zawiadamiała ambasadę Rzeszy w Warszawie o swojej zgodzie na odwiedziny, przy zastrzeżeniu uzgodnienia ścisłego terminu i programu przyjęcia «gościa». Program ten ustalany był już na miejscu w Gdańsku pomiędzy przedstawicielami wysokiego komisarza Ligi Narodów, komisarza generalnego Rzeczypospolitej, prezydenta rady portu i senatu wolnego miasta. Podczas wizyt, występowała ze strony polskiej, jako gospodarz portu gdańskiego, jakaś poważniejsza jednostka polskiej floty wojennej (zwykle kontrtorpedowiec «Wicher»), która oddawała honory przy wejściu do portu i wysyłała i przyjmowała oficera komplementacyjnego. Kolejność wizyt była zgóry ustalona, podobnie — charakter przyjęć. Według protokółu wizyty, komendant niemieckiego okrętu składał najpierw wizytę wysokiemu komisarzowi Ligi Narodów, potem komisarzowi generalnemu Rzeczypospolitej, a następnie prezydentowi senatu i prezydentowi rady portu. W tej samej kolejności wizyty były oddawane. Symbolika tego protokółu była jasna i zapewne była należycie rozumiana zarówno przez gości jak przez gospodarzy.

Naogół wizyty okrętów wojennych Rzeszy odbywały się bez incydentów, jeśli nie zaliczać do nich «żywiołowych», dobrze zorganizowanych manifestacyj ludności Gdańska na cześć okrętów, marynarzy i Rzeszy. Od r. 1935 senat Gdańska zarządzał z okazji odwiedzin iluminację i dekorację wszystkich gmachów publicznych flagą gdańską oraz domów prywatnych flagami niemieckiej partji narodowosocjalistycznej.

Jeden raz tylko wynikł w czasie odwiedzin okrętu wojennego floty niemieckiej incydent natury głębszej. Było to w r. 1937, gdy oficerowie krążownika «Leipzig» obrazili wysokiego komisarza Ligi Narodów Lestera, który atakowany był ostro przez Rzeszę z przyczyn sztucznie skonstruowanych. Incydent został zażegnany w sposób niezbyt zręczny z punktu widzenia prestige'u Ligi Narodów. Polska nie zareagowała również aktywnie w tej sprawie, idąc zresztą logicznie po obranej w r. 1933 (maj) drodze nieinteresowania się zagadnieniami dotyczącemi wysokiego komisarza Ligi Narodów w Gdańsku, a stawiając konsekwentnie na dwustronne regulowanie spraw polsko-niemieckich. Zagadnienie gdańskie przesuwało się w ten sposób z dziedziny stosunków pomiędzy Polską a Ligą Narodów na płaszczyznę polsko-niemieckiej rozgrywki politycznej. Coraz wyraźniej wysuwać się począł on na czoło zagadnień, których regulację korzystną dla siebie uważała Rzesza Niemiecka za sprawę, w kolejności postulatów w stosunku do Polski najpilniejszą i jak sądzono w Berlinie, za stosunkowo najłatwiejszą.

W tym stanie rzeczy nie było niespodzianką, a w każdym razie nie było niespodzianką co do treści, gdy Rzesza po zabraniu Czech, Moraw i Kłajpedy, sprecyzowała wreszcie swoje, długo przedtem lansowane w prasie w formie raczej mglistej, postulaty co do terytorjum Gdańska. Spowodu braku formy ultymatywnej w ujęciu tych postulatów, wydawało się, że uda się rozwiązanie tego zagadnienia przesunąć na okres późniejszy, zwłaszcza wobec konstelacji ogólnoeuropejskiej, samo zaś zagadnienie poddać rewizji rzeczowej.

Toteż gdy w maju 1939 r. Rzesza zwróciła się do Polski, jak w poprzednich latach, z prośbą o wyrażenie zgody na odwiedzenie Gdańska przez niemiecki krążownik «Königsberg», nie tylko Polska, ale i zagranica uznały ten fakt za próbę odprężenia, podjętą przez Rzeszę. W drodze normalnej procedury Rzesza została zawiadomiona o przychylnem stanowisku Polski w tej sprawie. Przy bliższej analizie okazuje się, że wszystkie korzyści wyciągnęły z niej wyłącznie Niemcy: osiągnęły mianowicie efekt odprężający w stosunku do siebie na Zachodzie, uzyskały sposobność podniesienia temperatury w Gdańsku z okazji odwiedzin oraz możność wygrania obecności niemieckiego krążownika w porcie gdańskim w ramach swego generalnego planu wojennego przeciw Polsce, który z wiosną 1939 r. był już bez wątpienia gotów. Polska, chwyciwszy się rozpaczliwie a bez istotnej przyczyny, niezbyt głębokiego, choć efektownego argumentu odprężenia stosunków polsko-niemieckich, popełniła błąd strategiczny i polityczny, pozwalając na wprowadzenie w środek swych pozycyj, poza linję obrony, czynnika obcego, przyczem punkt, w którym czynnik ten uzyskał możność działania, był najdelikatniejszy i bodaj jeden z najbardziej ważnych dla obrony Polski.

Dn. 24 sierpnia 1939 r. odbyła się w senacie gdańskim konferencja, dotycząca przyjazdu krążownika «Königsberg». Wzięły w niej udział osoby tradycyjnie już zajmujące się tą sprawą, program ustalono jak zwykle, w protokóle nie dokonano żadnych zmian poza tą, że Polska zrezygnowała tym razem z wysłania swego okrętu wojennego na powitanie. Ale w godzinach popołudniowych tegoż dnia prasa gdańska zamieściła wiadomość, że krążownik «Königsberg» nie przybędzie do Gdańska, ponieważ uległ nieznacznemu, niemniej dotkliwemu uszkodzeniu, zamiast niego zaś do portu wejdzie dn. 25 sierpnia 1939 r. o godz. 9 krążownik «Schleswig-Holstein». Równocześnie zamieszczono opis tej jednostki floty niemieckiej, wybudowanej w 1906 r., później zmodernizowanej, uzbrojonej w 6 dział 28-centymetrowych i 8 dział 15-centymetrowych, o załodze liczącej ponad tysiąc ludzi. Mimo konsternacji, jaką wiadomość ta wywołała wśród czynników niemieckich, zwłaszcza wobec oczywistej niewiarogodności uszkodzenia krążownika «Königsberg», który przecież nawet z uszkodzeniem mógł dopłynąć do Gdańska, program wizyty nie uległ zmianie. Warto zaznaczyć, że rząd niemiecki nie zawiadomił Warszawy na właściwej drodze o zamianie okrętu, który miał przybyć do Gdańska.

Wieczorem dn. 24 sierpnia flotylla gdańskich statków pilotażowych wypłynęła naprzeciw krążownika, aby ułatwić mu wejście do portu gdańskiego. Jako miejsce postoju przewidziano basen w Nowym Porcie, tuż naprzeciw polskiej bazy przeładunkowej na półwyspie Westerplatte.

Dn. 25 sierpnia 1939 r. o godz. 8 rano przybył do komendanta pilotów i policji portowej portu gdańskiego, Polaka, komandora Ziółkowskiego, uzbrojony komandor marynarki niemieckiej z czterema żołnierzami i zaaresztowawszy go, odstawił do jego mieszkania, przed którem ustawił wartę. Równocześnie zostali złożeni z funkcji piloci polskiej narodowości, których było kilkunastu, i polscy policjanci portowi, stanowiący połowę całej policji portowej.

O godz. 9 zgodnie z programem wszedł do portu «Schleswig-Holstein», witany przez tłumy ludności i salwy armatnie.

O godz. 10 zjawił się w mieszkaniu komandora Ziółkowskiego komandor niemiecki, który aresztował go poprzednio, i prosił, aby objął z powrotem służbę, donosząc mu równocześnie, że

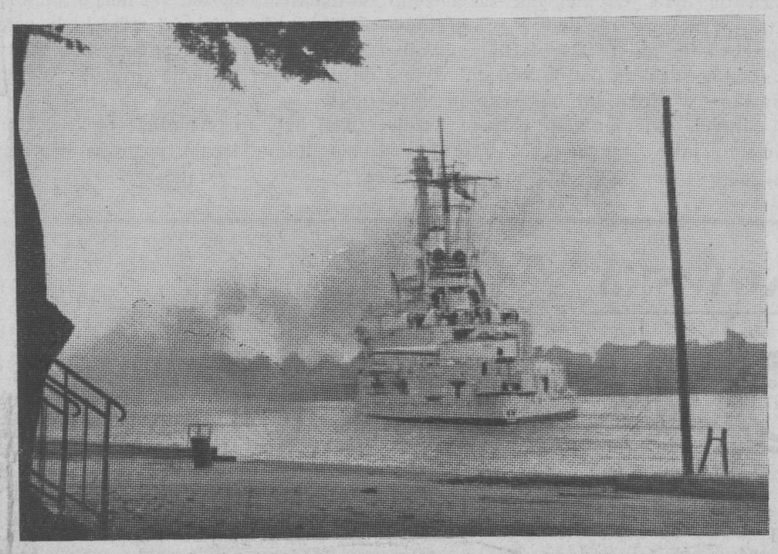

«Schleswig-Holstein» ostrzeliwuje Westerplatte 74319

Wejście na Westerplatte 69606

Westerplatte w płomieniach 74318

Westerplatte po zbombardowaniu 2959

ANTONI SŁONIMSKI

ROZMOWA

O jakże sercu są bliskie
Historją spiętrzone mury,
Małe uliczki paryskie:
Piosenki architektury.

Wystarczy spocząć gdzieś w bistrze,
Siądzie przy tobie swoboda,
I wiatr ci jak kelner poda
Poezji strofy najczystsze.

Choć wiosna tkliwie okrywa
Paryż zielenią i złotem,
Choć miasto wznosi, porywa
Ulic strzelistych wylotem,

Napróżno czaruje mnie falą
Sekwany, co szumi zamglona,
Wstęgą, co lekko wzniesiona
Łączy Concorde z Etoilą,

Próżno rysunek misterny
W złoto i błękit zanurza. —
Przywlókł się tu za mną wierny
Mrok warszawskiego podwórza.

Jak pies u nogi waruje
I mroczne ślepia podnosi.
Czego tak wciąż wypatruje,
I o co bezradnie tak prosi?

Nie wiem, czy kiedy powrócę,
Kogo przywitam, pożegnam.
Lecz ciebie już nie porzucę,
Lecz ciebie już nie odegnam.

Skamlesz u nóg pocichutku,
Jak pies podnosisz wzrok łzawy –
Nie bój się, wierny mój smutku,
Ja nie zapomnę Warszawy.

ANTONI SŁONIMSKI.

JEDYNA POLSKA INSTYTUCJA FINANSOWA NA WYCHODZTWIE

Bank Polska Kasa Opieki S. A.

ODDZIAŁ W PARYŻU

23, RUE TAITBOUT, PARIS 9-e

Agencje: Lens, Montceau-les-Mines

•

Przyjmuje wkłady: na każde żądanie i terminowe. Bierze udział we wszystkich poczynaniach gospodarczych wychodztwa, jako skarbnica polskich organizacyj i towarzystw, które powierzają jej swoje fundusze. Pośredniczy bezinteresownie w zbiórkach na cele narodowe i społeczne. Zasila kredytami polskie placówki gospodarcze i kulturalne we Francji.

•

BANK P. K. O. CIESZY SIĘ ZAUFANIEM WYCHODZTWA

ODDZIAŁY: Buenos-Aires, New-York, Tel-Aviv

piloci polscy i policjanci portowi również znów do służby zostali dopuszczeni. Przepraszając komandora Ziółkowskiego za to co się stało, tłumaczył się oficer niemiecki nieporozumieniem, jakie wynikło w rozgwarze instrukcyj wydawanych w związku z wejściem krążownika niemieckiego do portu. Nie tłumaczył się natomiast, rzecz jasna, skąd w Gdańsku znalazł się naraz niemiecki oficer marynarki w służbie.

Wizyty i rewizyty miały przebieg normalny. Wieczorem tegoż dnia odbyło się przyjęcie u «Gauleitera» Forstera, który dwa dni wcześniej przyjął tytuł głowy państwa, nadany mu przez senat gdański. Na przyjęciu tem nie zjawił się ani wysoki komisarz Ligi Narodów, ani komisarz generalny Rzeczypospolitej, i «Gauleiter» Forster nie omieszkał w przemówieniu swojem dać wyraz niezadowoleniu z nieobecności tych dostojników, zupełnie zrozumiałej wobec nieprawności uchwały senatu, podnoszącej «Gauleitera» do godności nieprzewidzianej w statucie wolnego miasta Gdańska, głowy państwa.

Dn. 28 sierpnia 1939 r. prasa doniosła o decyzji komendanta krążownika «Schleswig-Holstein» pozostania jeszcze przez pewien czas w Gdańsku w celu dokonania drobnych naprawek oraz uzupełnienia zapasów. Tegoż dnia zmienił on też pozycję, ustawiając się przodem do Westerplatte.

Dn. 1 września 1939 r. krążownikowi «Schleswig-Holstein» przypadła haniebna funkcja rozpoczęcia, bez wypowiedzenia, wojny przeciw Polsce. O godz. 4.45 tego dnia, na godzinę przed przekroczeniem granicy polskiej przez oddziały niemieckie, rozpoczął on bombardowanie polskiej bazy przeładunkowej w porcie gdańskim, półwyspu Westerplatte.

Westerplatte, polskie Termopile

Westerplatte jest półwyspem o rozmiarach 800×200, leżącym u ujścia martwej Wisły w t. zw. Nowym Porcie (Neuhafen). Od reszty portu oddzielał ją mur z cegły czerwonej. Podstawą przyznania Polsce tego skrawka ziemi, jako bazy przeładunkowej dla amunicji i broni, stał się traktat wersalski, zapewniający jej prawo wyładowywania wszelkiego towaru, niezakazanego przepisami polskiemi, w porcie gdańskim.

W celu wykonywania przysługujących jej praw, Polska uzyskała upoważnienie do utrzymywania niedużej załogi (88 ludzi łącznie z oficerami) jako straży transportów, nadchodzących na Westerplatte. Zmienianie tej załogi, które okazywało się konieczne, wobec charakteru służby wojskowej w Polsce oraz szkolenia żołnierzy, powodowało co pewien czas sytuację pod względem ilościowym nieco odmienną, mianowicie znajdowały się tam chwilowo dwie załogi: odchodząca i przychodząca.

Jeden raz w ciągu niemal dwudziestoletniego okresu władania przez Polskę Westerplatte zdarzyło się, że Polska świadomie powiększyła ilość żołnierzy, stanowiących jej załogę. Było to w r. 1933, gdy nastąpił desant polski na Westerplatte wobec niewłaściwości popełnionych przez Rzeszę w Gdańsku, a wskazujących na agresywne jej stanowisko wobec Polski, w szczególności na zamiar zmiany stosunków, panujących w Gdańsku, na niekorzyść Polski. Desant ten po pewnym czasie został wycofany.

W sierpniu 1939 r. obsadę Westerplatte stanowiło 171 żołnierzy i 5 oficerów. Był to akuratnie moment wymiany załogi, i odchodząca załoga wprowadzała w nowe funkcje nową załogę. Pozatem znajdowało się na terenie Westerplatte 20 rzemieślników, krawców, szewców, ślusarzy i murarzy, którzy obsługiwali żołnierzy każdorazowo przebywających na Westerplatte, dokonywali drobnych remontów koszar, instalacji elektrycznej i kanalizacji. W toku były właśnie roboty, zmierzające do podniesienia warunków życia załogi Westerplatte, a mianowicie zmiana podłogi w koszarach i kasynie załogi oraz opatrzenie ścian, narażonych na wpływy wilgotnych wiatrów Bałtyku, płytkami szamotowemi. Wagon takich płytek stał od początku sierpnia na bocznicy kolejowej i nie mógł się doczekać zezwolenia władz celnych wolnego miasta na wyładowanie.

Załoga składała się wyłącznie z ludzi zupełnie młodych: 21—23-letnich. Jedynie komendant Westerplatte, w randze majora, był człowiekiem czterdziestokilkoletnim, który przeszedł wojnę 1914 — 1920.

Warunki życia na Westerplatte były w porównaniu z normalnem życiem żołnierskiem dostatnie, jedzenie obfite i dobre, swoboda poruszania się, naturalnie tylko na terenie Westerplatte, duża. Kontakt ze światem zewnętrznym utrzymywała motorówka służbowa, którą jeżdżono do Gdyni, a z Gdańska dojeżdżali niekiedy oficerowie z komisarjatu generalnego Rzeczypospolitej i urzędnicy komisarjatu. Westerplatte posiadała wewnętrzne połączenie telefoniczne z komisarjatem generalnym w Gdańsku i (kablem podmorskim) z dowództwem marynarki w Gdyni. Życie płynęło w dużem odosobnieniu, ale też i beztrosce materjalnej.

Ciszę zakłócały podejmowane co pewien czas alarmy prasy gdańskiej i reprezentantów Gdańska o grożącem jakoby wolnemu miastu niebezpieczeństwie ze strony «magazynu środków wybuchowych», jakim, zdaniem ich, miała być Westerplatte. Rzut oka na mapę pozwala skwalifikować te zarzuty jako pozbawione jakiejkolwiek realnej podstawy. Co pewien czas też, a zwłaszcza już w r. 1939, rozszerzały czynniki niemieckie pogłoski o daleko posuniętych pracach fortyfikacyjnych na Westerplatte, wieżach pancernych artylerji ciężkiej, rzekomo się tam znajdującej, i zwielokrotnieniu załogi. Prawdą było jedynie, jak zaznaczono już wyżej, że niekiedy przejściowo przebywała na Westerplatte podwojona załoga oraz że pod koszarami wybudowano w ciągu lat obszerne piwnice o silnych sklepieniach, służące przejściowo jako magazyny. Uzbrojenie Westerplatte w lecie r. 1939 stanowiło, poza karabinami ręcznemi, kilkanaście karabinów maszynowych i kilka działek przeciwpancernych nowego typu, przesłanych dla celów szkolnych, pozatem pewna ilość granatów ręcznych. Amunicji było — rzecz prosta — dość.

Kontakt Westerplatte z Gdańskiem, zawsze dość uciążliwy, w r. 1939 z dnia na dzień niemal się pogarszał. Odwiedzanie załogi przez oficerów z biura wojskowego komisarjatu generalnego w Gdańsku napotykało na szereg przeszkód, samochody poddawane były szykanom w formie legitymowania znajdujących się w nich osób, rewidowania bagażników i zaglądania pod maski motorów. Dowóz środków żywności drogą lądową stawał się coraz trudniejszy aż do zupełnego zahamowania w ostatnich tygodniach sierpnia. Pierścień izolacyjny wokół Westerplatte zaciskał się coraz mocniej i mocniej, w miarę jak zbliżały się ostatnie dni sierpnia. Jeszcze raz rozluźniono go, by przepuścić karetkę, wiozącą ciężko chorego żołnierza polskiego z Westerplatte do granicy gdańsko-polskiej — okazja do późniejszego patetycznego wysławiania na łamach gazet gdańskich «wielkoduszności» niemieckiej. Jeszcze raz rozluźniono pierścień, a potem zamknięto go w dn. 30 sierpnia 1939 r. i już nie otwarto.

Kilka dni przedtem, na dzień przed wejściem do portu gdańskiego krążownika «Schleswig-Holstein», polecono usunięcie sprzed Westerplatte wszystkich statków i łodzi rybackich, zakazując na przyszłość spuszczania kotwicy wszelkim statkom przed Westerplatte.

Dni były niepospolicie piękne. Upalne południa, letnie, pogodne wieczory.

A atmosfera była ciężka i duszna w mieście czerwonem od stale wiszących flag, przyozdobionych koszmarnemi wężami swastyk. Ryk tłumów i piski oddziałów dzieci, podniecanych nieustanną, niepowstrzymaną, nieprzytomną propagandą wodzów i małych kacyków partyjnych, rozdzierającym dysonansem tętnił po ulicach. Na gmachach publicznych umieszczono festony z zieleni i małych chorągiewek upstrzonych czarnemi pajączkami, przed gmachem senatu ustawiono maszty, oddziały wojska maszerowały nieustannie, baterje dział rozdygotywały ulice, czołgi pełzły na wszystkie strony, na polach kopano rowy strzeleckie i ustawiano karabiny maszynowe, miasto pełne było szaleńczego ruchu i zamieszania, wśród którego jak wyspa spokoju i umiaru, zdecydowania i godności, a może też dumy i tragicznego zaufania we własne siły, leżała Westerplatte.

Przez rzadkie drzewa widać było z okien koszar Westerplatte wąską kiszkę portu, szarą wodę basenu, popielaty ogromny przód krążownika niemieckiego, stojącego przodem do portu wyspu w odległości około 200 m, ruchy marynarzy na nim, a nocą światło domów leżących nad portem i odległą łunę Gdańska. Żyła Westerplatte w te dni ostatnie jak przedtem, w pogotowiu i w nieustannej czujności. Zwarli się w sobie i z sobą ludzie Westerplatte, żołnierze i cywilni, jak w uścisku nierozerwalnym. Cywilni odmówili opuszczenia tego skrawka ziemi, nad którym łopotała dumnie flaga Rzeczypospolitej a na którym przeżyli szereg lat. Zostali i otrzymali swój odcinek obrony, na wypadek potrzeby.

Przyszła noc 31 sierpnia. Aparat radjowy odkrzyczał jak echo tekst niemieckich propozycyj kapitulacji Polski, a potem zamilkł. Telefony jęczały całą noc między Westerplatte a Gdynią, komendant czuwał, żołnierze i oficerowie drzemali na swych posterunkach. Nad ranem stało się cicho i niemal spokojnie. Mgiełka jesienna położyła się na domach i drzewach i osłoniła je delikatnie, zacierając ich zarysy. Mgiełka otuliła okręt, stojący naprzeciw Westerplatte, i skróciła widnokrąg. Tak płynęły minuty.

Dn. 1 września 1939 r. o godz. 4 rano rozpoczęła się na krążowniku «Schleswig-Holstein» gorączkowa krzątanina. Za mgłą działo się również na wybrzeżu, w porcie, coś niezwykłego. Zegar bliskiego kościółka wydzwonił kwadrans na piątą, potem pół do piątej.

Piętnaście minut przed piątą krążownik «Schleswig-Holstein» rozpoczął ostrzeliwanie Westerplatte. Piętnaście minut przed piątą naraz zagrzmiały wszystkie jego działa — sześć dwudziestoośmiocentymetrówek, osiem piętnastek i reszta zespołu uzbrojenia, waląc tysiąckilogramowym ładunkiem w Westerplatte.

W chwilę później nie było już koszar, nie było kasyna i budynków administracji — pozostało tylko rumowisko cegieł, cementu i połamanego drzewa.

Załoga, wycofawszy się z małemi stratami do piwnic, odstrzeliwała się ze swych trzech działek przeciwpancernych, z karabinów ręcznych i karabinów maszynowych. Ostrzeliwanie trwało do godz. 9.15, przyczem oddano ogółem 64 salwy artylerji.

O godz. 10 wyszło nadzwyczajne wydanie gazety «Danziger Vorposten», donoszące o zbombardowaniu Westerplatte i puszczające bajkę o jej zdobyciu «po dziesięciu minutach bombardowania». Popołudniu bombardowano Westerplatte ponownie z krążownika, z lądu i z bombowców, trzykrotnie nalatujących na nią falami. Westerplatte broniła się, urągając swojemi piwnicami artylerji «Schleswig-Holsteina» i bombom lotniczym. Dn. 2 września 1939 r. znów wczesnym rankiem rozpoczęto bombardowanie, potem uderzyły czołgi i piechota. Na małym kilkusetmetrowym odcinku zgromadzono kilka tysięcy ludzi i masą tą chciano złamać ten okop męstwa, niezłomności i poświęcenia.

Bezskutecznie.

Dziewięć dni broniła się Westerplatte.

Dn. 9 września została wreszcie zdobyta.

W ręce niemieckie dostała się zryta pociskami ziemia, pokryta gruzem i pniami drzew, sto kilkadziesiąt zniekształconych trupów i kilkudziesięciu ciężko rannych.

JAN SASSE.

MARJA PAWLIKOWSKA

SŁOWA KU NIEBU

I

Niebo, dotychczas dobre, nieuczłowieczone,
Błękitniało spokojnie, obłoków materję
Kształcąc w formy przelotne i szczerze nicwarte...
Nie obdarzało krótkiem, marnem życiem chmury,
Błędnej efemerydy. Mądrze było w niebie,
A kto w niem myślą tonął, czuł się odrodzony.
Jaskółki, w łukach, smugi zachodu różane
Przecinały, pierś białą oddając tym łukom;
Fioletowe gościńce, autostrady złote
Ścieliły się nad lasem który wessał słońce,
A z drugiej strony, jakby chmurki brukowały
Rynek w polskiem miasteczku: kamień przy kamieniu —
Jak gołębie karmione. I gwiazdka najpierwsza —
Hebrejski znak: wieczoru i dnia jutrzejszego.
Kolejno zapalały się astry w ciemności,
Która sen nakazuje wszelkiemu stworzeniu,
Aby oczy zamknęło na tajniki nieba —
Na odkryte, zdradzone światłem, osobiste
Sprawy niebios. Dla oczu człowieka, okrutne
I daremną pokorą trudzące myśl ludzką.
Lepiej utulić głowę w poduszek poczciwość...
Niebo było łaskawe. Pioruny najczęściej
Trafiały w ziemię, albo w przywykłe do ciosów
Wierzby (wytrwale, z piersią rozprutą żyjące),
Lub w wodę, budząc pustą wesołość rusałek i oklaski wśród [trzciny.

Grady, deszcze, śniegi
Szalały gdy z ogrodów już odeszło życie,
Bywały wprawdzie chłopskich, gorzkich skarg przyczyną,
Lecz, zdało się, bez woli własnej. Poczem, słońce
Biegło, blaski, jak ręce do zgody gotowe,
Wyciągając ku rolom, zasiewom i sadom.
Meteory, we wrześniu zwykle skośnym deszczem
Wiały — — — jakże łagodnie! Nazwa ich ludowa
„Łzy świętego Wawrzyńca". We wrześniu, słyszycie?
Nierzadko blady teatr chmur odgrywał wgórze
Poetyckie, przewiewne dramaty tajemnic —
Bezpłatne widowisko barw — a czasem, temu
Który umiał ku niebu dłużej zadrzeć głowę,
Dawało ono wieści, wróżby i przestrogi,
Z pomocą chmur, księżyca lub tęczowej wstęgi.
O niebo, lnów kwitnących pole nietykalne,
Zacne jak czysty turkus, kamień powodzenia,
Modra różo nieziemska w motylach obłoków!
I tyżeś dopuściło, aby deszcz stalowy,
Albo ciemnozielony, z ognistem zarzewiem,
Wirując, płynął z ciebie ku ziemi? Ty, dzisiaj
Śmiercią szafujesz hojnie?
Ty, godzisz świadomie
W życie? Niebo kłamliwe, dotychczas nieznane!
Ludźmi się nie zasłaniaj. Nie wierzę w nich. Wierzę
W żywioły. Ludzie czynią to co chcą niebiosa,
Lub ziemia. I napastnik ginie wśród napaści,
I zwycięzca ze strachem czeka zmian fortuny,
Klnie i cierpi. O ludzi mniejsza. Marjonetki
Tragiczne! Lecz ty niebo, ty jesteś ciemnością,
Przesłonioną błękitem.
Tyś w swoich lazurach
Dusiło niecierpliwą lecz wytrwałą wściekłość,
Która czekała chwili. Ty, gradowe kule
Z kryształu tocząc, drżałaś już myślą o bombach
Złośliwych, mądrych, w skrzydła wąskie opatrzonych,
Długich jak łza, łza szczęścia nad cudzem cierpieniem!
Szczęścia z wyzwolin djabła! Nigdy już nie wzniosę
Więcej oczu ku tobie. Oczu moich błękit
Niewinniejszy i czystszy jest od twoich błamów
Które krew plami. Dzieci krew i trwożnych kobiet!
Zawodna ty kopuło nicości, emaljo
Pełna przekory, jasna bowiem, niezużyta
Przez cały wrzesień!
Niebo! Nie! Nie! Tyś nie boskie!
Nie ty jesteś aniołów siedzibą, lecz raczej
Dobre serce człowieka...

II

Nigdy już, niebo, źródłem nie będziesz spokoju,
Przybytkiem rozmyślania, snów. Ludzka złośliwość
Chmurą pokryje twoje obszary, razporaz.
A nigdy raz ostatni; chyba z końcem świata
Który uciszy gniewy narodów!

— Wenecjo!

Do dziś jeszcze nietknięta koronko kamienna,
Żegnam cię już zawczasu, choć może i setkę
Lat ci jeszcze pisano istnieć i choć jesteś
Pod opieką potęgi o spokojnem czole.
Ja cię żegnam, boś piękna! A piękność nie wzruszy
Barbarzyńskiej epoki która już nadeszła,
Barbarzyńskiej epoki która już nie minie...
Dzisiaj wolno każdemu orle cienie rzucać,
I w różanych błękitach ulicznem kląć słowem —
Śmiać się szyderczo, mówiąc: „Trafiłbyś w tę wieżę,
Kolego? Trzymaj zakład, do następnej wojny!".
O, jak ich pańskość twoja zawstydzi, Wenecjo,
Jak nienawistna będziesz im i jak nieswoja,
Niczem splot rąk zbyt białych, orli nos, grandezza...
Jak ich lekcją historji przymusową znudzisz,
Jak podrażnisz współczesny, błędny instynkt: niszczyć!
Bazyliko świętego Marka, śnie rozkoszny
W czasach bloków kamiennych, głupich, jednorodnych!
Campanile, Palazzo Ducale, wy, kwiaty
Namiętności i pracy, natchnienia i kielni!
O dworzyszcza syrenie, z ciemną wodą w progu,
Z gwiazdą kraba pod oknem! Drżę o was, słyszycie,
Byście mi nie runęły gruzem kolumn, fasad,
Balkonów i sekretów budowniczych. Mosty,
Nie upadnijcie lekkim, rybim kościotrupem,
Marmurowemi ośćmi, w pełną blasków wodę,
Krwawiącą ogniem!
Miasto, nie wiesz co to wojna!
Wgórze demony walczą ze sobą; huk strzałów;
Okrążają się, brzęcząc, wynoszą nad siebie,
Jakby sobie na plecach chciały siąść. W powietrzu
Pełno ciał metalowych, wirujących, sinych,
Rozłamujących domy wpół...
A teraz, chwila
Ciszy, Wenecjo, Myślę o mojej stolicy,
Najświętszej i dalekiej. Cześć jej, cześć i miłość,
Naszej Pompei, sercu nieustannie bliskiej...
. . . . . .
A więc co ci mówiłam, Wenecjo? że pocisk
Potrafi dom rozłamać?...
A potem? cóż, przyjdzie
Dzień tryumfu Włoskiego Buta, który zdepcze
Żmiję — europejską czy też wschodnią — nie wiem —
I świt nad tobą, gromki świt nad tobą, Wenus,
Pełen chwały, przemówień, muzyki, parady
I żalu nad zwłokami twojemi...

MARJA PAWLIKOWSKA.

JAN LECHOŃ

WIEŚ WE WSPÓŁCZESNEJ LITERATURZE POLSKIEJ *)

Kiedy światły Polak, zdolny jasno patrzeć na rzeczy ojczyste, porównywać poczyna prozę polską z prozą innych krajów, kiedy z jednej strony postawi tak zdrową, mocną, idealistyczną a zarazem krytyczną prozę angielską, wielkich Francuzów, znawców zdawałoby się, nieomylnych każdego poruszenia duszy, potężnych Rosjan, mistrzów raz tragicznego raz znów groteskowego satanizmu, musi sobie pomyśleć, że mimo wysokiego kunsztu, szlachetnych tendencyj, najwyższej nieraz kultury — brak jest jak gdyby naszej prozie czegoś zupełnie własnego, w czemby ona jedynie celowała, czegoś instynktownie odrębnego, co sprawia że cały świat zna prozę francuską, angielską i rosyjską, polska zaś, pominąwszy parę nazwisk z Sienkiewiczem naczele, nigdy właściwie poza szczupły krąg znawców i wydania propagandowe nie wyszła.

Bylibyśmy w kłopocie albo też, wybrnąwszy z niego i wybrawszy jakie nazwisko z polskiej prozy, ponieślibyśmy porażkę, chcąc je wobec cudzoziemców postawić obok Balzaka, który poprostu odkrył i opisał cały świat współczesny, obok Stendhala, który przeniknął powieść wielką poezją, stwarzając w ramach jakże oszczędnej, jakże rozumnej konstrukcji powieść romantyczną, obok Dickensa, znającego dziwną tajemnicę zarazem naiwnej bajki, satyry, propagandy i absurdalnego humoru, obok mistrza analizy i syntezy zarazem, przemądrego a jakże zdrowego Mereditha, obok potwornego Dostojewskiego, który zszedł na dno piekła, nie w płaszczu dantejskim, ale w rubasze katorżnika, i obok Gogola, który w grotesce sięgnął niemal tajemnicy bytu. Niesposób nie pomyśleć, że literatura nasza jest jakby przez los skrzywdzona: to co jest w niej wielkie, odrębne, genjalne, pozostanie właściwie na zawsze nieznane światu, bo genjusza tego nie da się oddzielić od magji języka, od czarodziejstwa wiersza, to zaś co da się czytać w obcej mowie — nie jest w stanie zadziwić i wstrząsnąć i nie wyraża tej odrębności polskiej, która istnieje napewno i o której wielka poezja nasza tak świadczy.

Otóż pominąwszy, że od wyłożonej tu zasady są wyjątki — ten sąd o naszej prozie tak surowy musi przy bliższem badaniu i wmyśleniu się w nią ulec pochlebnej zmianie; rozpatrując bliżej naszą powieść, znajdujemy w niej pewne tendencje, idee i wzruszenia, których żadna inna tak silnie nie wyraża i które, właściwe również naszej poezji, nadają naszemu pisarstwu ton bardzo własny i czynią go częścią niezbędną światowego dorobku.

Żadne inne pisarstwo, żadna w tym stopniu bodaj co polska proza nie dają takiego obrazu, takiej rozmaitości obrazów, takiej poezji, takiej znajomości wsi co pisarstwo polskie; ziemia i ludzie na ziemi osiedli, szlachta i chłopi w żadnej chyba bardziej niż w polskiej literaturze nie znajdują tak samorodnego i prawdziwego odbicia.

To może właśnie w dzisiejszym miejskim świecie czyni naszą polską twórczość pisarską tak obcą, to może daje jej znamię anachronizmu i niemal egzotyzmu; większość zagadnień współczesnych związana jest z miastem i życie wiejskie jest jakby ucieczką od tych zagadnień — mimo to trudno zaprzeczyć, że polskie pisarstwo dało parę arcydzieł odczucia i pojęcia wsi i ludzi wiejskich, które mają wartość ogólną i dotąd niezajęte miejsce w literaturze świata. I jeśli od tej strony spojrzeć na naszą twórczość, ma się odrazu wrażenie niezwykłej bujności i bogactwa. Przez całą naszą literaturę zdaje się iść jakiś potężny powiew wiejski, tony, barwy i wonie, które przelewają się poprzez karty poezji i płyną tokiem prozy, tak ją poetyzując, że staje się, jeśli np. o Żeromskiego chodzi, tak samo hermetyczna dla cudzoziemców jak poezja rymowana; tłoczy się w poezji naszej, powieści i teatrze tłum krwisty, namiętny, śmieszny, buńczuczny, lekkomyślny a pełen zarazem jedynego uroku, tłum w żadnem bodaj innem pisarstwie tak mocno nie namalowany i równie jak w naszem rozmaity.

Opis przyrody, który w światowej powieści jest często elementem tła zaledwie, jest w polskiej częścią składową najpierwszej wagi, co oczywiście, na jej nizinach dało owe przysłowiowe, uprzykrzone wschody i zachody słońca i noce księżycowe, ale co u Sienkiewicza, Żeromskiego i Weyssenhoffa — stworzyło jedne z najpiękniejszych kart prozy, godne wielkich pejzaży naszych romantyków.

Zbyteczne mówić, jaka to jest dawna, potężna, jak niemal wyłączna tradycja! Zaczyna się literatura polska od szlagona Reja, i kiedy we Francji w XVII w., a cóż dopiero mówić o XVIII, panuje salon, kipi życie dworu i stolicy, a wieś jest już tylko miejscem polowań i pasterskiej maskarady, u nas w najlepsze krzewi się rubaszna fraszka i pieniaczy pan Jan Chryzostom Pasek; wszyscy nasi znakomici z XVIII w. są to wieśniacy, zjeżdżający do miasta, w ich powieściach, satyrach i poematach, jeśli się rzecz nawet dzieje w mieście, cały świat porównań, dowcip, atmosfera, duch jest ze wsi. Że «Pan Tadeusz» staje się polskim poematem narodowym, że żadne inne dzieło nie może z nim w tem stawać do porównań, to sprawa nie tylko genjuszu ale i tego także, że opisując wieś i wiejskich ludzi, Mickiewicz opisał właśnie Polskę; wyobraźmy sobie czyby to było we Francji możliwe. Inne arcydzieło, najwyższe arcydzieło charakterów, «Zemsta», znów rozgrywa się na wsi, w «Trylogji», w «Krzyżakach», w «Nad Niemnem», w «Placówce» wszystko ludzie wiejscy, wieśniakem jest Rafał Olbromski; kiedy Wyspiański rozgrywa swą wielką sprawę, toczy dysputę z narodem, daje jej za teatr wiejską izbę i wiejskie wesele, i tak poprzez epopeę «Chłopów» aż do pierwszej polskiej powieści cyklicznej — do «Nocy i dni» Dąbrowskiej — wszystko niemal co najmocniejsze w naszem pisarstwie, mówi o wsi albo ze wsi się wywodzi. Wywodzi się to z pokładów duszy głębokich, na które niewiele mogą postęp, zmiany życia, dziedzictwem przechodzi i dziedzictwem odzywa się po wielu pokoleniach. Bo przecież nasi renesansowi pisarze, choć na wsi jak każdy szlachcic urodzeni, zaznali dworu, włoskiej ogłady, podróży po obcych krajach — Kochanowski na świecie bywał, znał Ronsarda, król go miłował, a jednak nad wszystko przekładał szum lip czarnoleskich i swobodę wiejską, o której jakże pięknie mówi jego łacińska strofa, przełożona przez Ejsmonda:

Żegnay dworze zwodniczy... Na wsi oy-
[ców role.
nie dbaiąc o ponęty twe, uprawiać wolę...
Swoboda iest mi droższą y nad pereł bla-
[ski
y nad lidyjskiej rzeki szczyrozłote piaski.
. . . . . .
Albo słucham kształcącey nauki Sokrata,
lub składam pieśni zgodnie z wzory łacińskiemi,
które w chwili natchnienia będzie móy
[Sarmata
śpiewał swym miękkim głosem ukochaney
[ziemi.

Od Kochanowskiego idzie ów szum czarnoleski po całej polskiej literaturze, stwarzając instynktowny ideał życia, który zapanuje w niej bodaj na zawsze, wznosząc się do panteistycznych wzlotów, stwarzając liryzm jedyny, żywiołowość niezwykłą, zdrowie i wigor, który się równie wyżywał w mieiskich zabawach jak w wojnie, poetyczność płynącą z uroków pól, z ożywczego zapachu ziół, z przezroczystości wody. Szczęściem dla Polaków będzie odtąd stary dwór z kolumnowym gankiem, cieniste drzewa w sadzie, granie pszczół od pasieki, owa rzecz czarnoleska, do której stękniony wracą pan Tadeusz z wcale przecież naówczas hucznego Wilna, owa ojczyzna wiejska, o której Mickiewicz pisze jak o jakiemś ogólnem sąsiedztwie:

Kraj lat dziecinnych!... On zawsze zo-
[stanie
Święty i czysty, jak pierwsze kochanie,
Niezaburzony błędów przypomnieniem,
Niepodkopany nadziei złudzeniem,
Ani zmieniony wypadków strumieniem.

Te kraje radbym myślami powitał,
Gdziem rzadko płakał, a nigdy nie zgrzy-
[tał:
Kraje dzieciństwa, gdzie człowiek po
[świecie
Biegł jak po łące, a znał tylko kwiecie
Miłe i piękne, jadowite rzucił,
Ku pożytecznym oka nie odwrócił.
Ten kraj szczęśliwy, ubogi i ciasny,
Jak świat jest boży, tak on był nasz wła-
[sny!

Jakże tam wszystko do nas należało,
Jak pomnim wszystko, co nas otaczało:
Od lipy, która koroną wspaniałą
Całej wsi dzieciom użyczała cienia,
Aż do każdego strumienia, kamienia,
Jak każdy kącik ziemi był znajomy
Aż po granicę — po sąsiadów domy!

Ta sama jest ojczyzna Słowackiego-dandysa, który pospolitości nie znosił, który genjalnem słowem «rubaszny czerep» wydał wyrok na zbrodniczo bezmyślny sarmatyzm, a który z taką czułością patrzył na szlachecki dworek Horsztyńskiego i kazał w nim mieszkać najprostszej i największej cnocie i który w «Złotej Czaszce» uległ rozczuleniu nad panem Strażnikiem, tylko poezji Słowackiego zawdzięczającym, że nie stał się dla nas właśnie «rubaszną czaszką». Ojczyzna Słowackiego — jak Mickiewicza — jest to owa kraina wiejska, gdzie Ikwy fale płyną, owa Polska z pamiętnika Zosi Bobrówny.

Norwid, który odczuwał świat nie poprzez zmysły albo uczucie, ale jak Proust poprzez książki i dzieła sztuki — pierwszy genjalnie nazwał ów czar przemożny wsi polskiej «rzeczą czarnoleską», pierwszy też zrozumiał i wypowiedział rdzenną polską melancholję, nieodłączną od tego czaru:

Lecz nie kwiląc jak dziecię,
Raz wywalczę się przecie;
Złotostruna, nie opuść mnie, lutni.
Czarnoleskiej ja rzeczy
Chcę — ta serce uleczy!
I zagrałem... I jeszcze mi smutniej.

To ten sam czar wzmagający smutek a urzekający, że duszy od niego oderwać nie można, kazał poetom i malarzom krakowskim, żórawcom, zbiegać z miasta pod bronowicką strzechę, to on ową nieustającą, monotonną nutą przenika owo niebywałe «Wesele», którego treścią najgłębszą jest przekleństwo owego czaru.

Ta tęsknota różne ma w pisarstwie naszem wyrazy: konwencjonalno-sentymentalny — jak w tem wyśmiewanem panieńskiem marzeniu Maryni Połanieckiej, żeby wrócić do Krzemienia, społeczny — jak w walce Ślimaka o ziemię, kiedyindziej jest to program mózgowy, stylizacja — jak w beskidzkich próbach Zegadłowicza; ale jest to podziśdzień motyw literacki, który nigdzie poza Polską tak się nie rozwinął.

Nigdy też polska literatura nie przestanie ze związku z przyrodą, z zielenią, ze wsią, czerpać najbardziej własnych i nowych tonów; gdzie już zdawałoby się wszystko zostało powiedziane — tam z pokładów tajemniczych dobywają się jakieś zapachy nieznane, strzela jakaś zieleń niebywała, dostrzeżone zostają jakieś jeszcze niewidzialne życia, i tak powstają, dzięki jakże miejskim poetom, wiersze najbardziej przewrotowe, wynalazcze — nazwane «Łąka» albo «Rzecz czarnoleska».

Do ostatnich też czasów urbanizm, miastowość w naszem piśmiennictwie podawane są jako pewnego rodzaju rewolucyjność, coś zdobywczego, co nie rozumie się samo przez się, i to zarówno w poezji jak w prozie. W Polsce niepodległej, huczącej piecami Śląska, w Polsce Łodzi i Gdyni, młodzi poeci, prawda, że idąc w tem za modą Zachodu, ale jakoś namiętniej, z większą wiarą odkrywają z miną zdobywców nazwy maszyn, wplatają je w rymy i rzucają wyzwanie wciąż nieprzezwyciężonej poezji srebrnych jezior, wschodów słońca i księżycowych nocy. Kiedy Kaden pisze swoje «Czarne skrzydła», jego temat zdaje się być u nas rewolucją. I co ciekawe, tę literaturę wiejską — wszystko jedno szlachecką czy chłopską — uprawiają nie tylko pisarze na ziemi osiedli, nie tylko mądry szlagon Bliziński, nieoceniony obserwator przemian szlachetczyzny, nie tylko wciąż fantowany Junosza, nie tylko dzielący swój czas między litewskie puszcze i kasyna Riwjery Weyssenhoff.

Żeromski, sztandarowy pisarz inteligencji, Żeromski — socjalista, w tylu utworach poeta miasta, poeta suchotniczych, grottgerowskich studentów, w przewiewnych paltach niosących bibułę z czwartaka na czwartak, jest zarazem największym w naszej prozie poetą wsi, przyrody, i do końca życia ta jego wiejskość, ta jego tradycja wiejska, więcej — to cobyśmy dzisiaj nazwali kompleksem wsi, stanowi jedno z zasadniczych zagadnień jego twórczości.

W Żeromskim, w jego twórczości, w jej niezwykle zasadniczych paradoksach rozgrywa się wielka sprawa naszej historji, która choć rozwój jej przybrał różne wyrazy i stworzył różne konflikty, źródło ma w wiejskości naszego narodu i bodaj w owym czarze wsi, w owej «rzeczy czarnoleskiej».

Wszystko co Żeromski myśli, wszystkie jego ideały, wszystko co przeżył w myśli jako młodzieniec, sprzymierza go odrazu z protestem, wszystko co jest dworem, pańskością, jest mu wrogie przez tę jego postawę, wrogie, domyślamy się, przez jakieś wspomnienia; i Żeromski od pierwszych nowel aż do «Ponad śnieg» i «Przedwiośnia» oskarża dwór, przesądy, gnuśność, chłopską niewolę, oskarża dumną księżniczkę, oskarża panią Rudomską, która nie chciała znać innego prawa niż swoje własne, oskarża panów Nawłoci, gdzie wszystko tonęło w puchach wygody i owego szczeropolskiego «jakoś to będzie».

On to wynalazł dwa symbole, uczynione z nazw wsi szlacheckich, i w tych słowach potępił dwa najcięższe grzechy szlachty polskiej, dając miano «Łuży» owej pysze wielkopańskiej, gotowej nawet do zbrodni, byle się nie ugiąć, i nazywając Nawłocią beztroskę, rodzącą się z sielanki wiejskiej, z wiejskich zabaw, wiarą w niezapracowany, cudem zesłany, dobry koniec każdej sprawy. Ale jeżeli w czem był Żeromski wielkim artystą, jeżeli coś dawało mu ową dramatyczność, owo rozdarcie, bez których literatura jest tylko propagandą, pouczeniem, niezdolnem naprawdę poruszyć duszy, to ów głęboki dramat, który działa się w nim, owa walka z samym sobą, z synem szlacheckim, w którym na dnie duszy mieszkały także prawo Łuży i urok Nawłoci. Związany on był z niemi napewno przez małoszlacheckie urodzenie, przez historję Polski, która w nim walczyła, jak walczyła dawność w Wyspiańskim, ale związany był przedewszystkiem przez sam pejzaż, przez same wspomnienia rodzinnych lasów i gór świętokrzyskich, przez dziecinne polowania, przez jakieś aleje starego parku, któremi przemknęła kiedyś konno księżniczka z «Popiołów». Wielki pan i pompatyczny stylista, Stanisław Tarnowski, z wielką niechęcią, niezrozumieniem i złą wolą omawiając po ich ukazaniu się «Popioły», uważał przecież za niezbędne tak mniejwięcej powiedzieć: «czego odmówić nie można p. Żeromskiemu, to przedstawienia okolic Dzikowa tak jak ich nikt dotąd w piśmiennictwie polskiem nie odtworzył». Miał Żeromski wobec ziemi polskiej poczucie przedewszystkiem fizycznego związku, i jeśli przyroda cierpi u niego wraz z ludźmi, to również, że Żeromski współżył z jej cierpieniem, jej burzami, jej dramatem. I zarazem z namiętnością i skrupułami ucznia, który uzupełnia lekcje przyrody wycieczkami z siatką na motyle i zielnikiem w ręku, Żeromski, w którym niemożność ukończenia szkół wyższych stworzyła fanatyczny i czasem wręcz naiwny kult wiedzy, do końca życia uczy się, bada, segreguje polskie drzewa, zioła, krzewy, pieści się ich nazwami, odkrywa ich zapomniane imiona. Z tej miłości, z tego tak nierozdzielonego związku z ziemią, płynie ów wspaniały dramat Żeromskiego, zarazem uwielbienia i nienawiści do przeszłości, dramat, w którym razporaz olśniewa go świetność panów tej ziemi, przejmuje czcią i miłością rzymska cnota i śmierć Żółkiewskiego, ewangeliczna ofiarność Władysława Zamoyskiego, to znów woła przez niego nędza i nienawiść ludzi, którzy tej ziemi nie mieli, którzy ją kochali jak ci panowie, ale musieli uprawiać jak niewolnicy. Przez całą twórczość Żeromskiego gra się ów dramat, i niema chyba utworu, w którymby jakieś z niego nie znalazły się sceny, aż po ostatnie lata, aż po «Ponad śnieg» i «Turonia», całe z tego konfliktu, z tej dwoistości Żeromskiego. Toteż choć niewątpliwie będzie mu wytoczona jeszcze niejedna sprawa artystyczna, o której nie myśleliśmy, gdyśmy się zamieniali w słuch, aby nic nie uronić z jego nauk — pozostanie Żeromski na zawsze najbardziej ludzkiem, płomiennem słowem tej szlachty polskiej, która stworzyła polską demokrację, wzięła za swoją sprawę ludu i która, żadną do tego niewezwana rewolucją, wyniosła ideał równości i wolności dla wszystkich. Ideał ten snuje się przez całe polskie piśmiennictwo XIX w., nie tylko w pismach politycznych, ale i u szlachetnych poetów, u myślących pisarzy, jak Korzeniowski i Kraszewski; wśród motywów naszej literatury jeden to chyba z najczęściej się odzywających. Jest w historji polskiej i w jej literaturze jedna sprawa przez poezję ulubiona, motyw historyczny i wątek literacki, z którego ów demokratyzm się wywodzi. Ten motyw, to Kościuszko i Racławice, które z obrazu Naczelnika w krakowskiej sukmanie uczyniły symbol Polski wolnej i nowej, które nie tylko walkom naszym ale i całemu duchowi Polski, polskiej poezji dały ton dotąd nieznany, bardzo własny i piękny, zarazem sielankowy i bohaterski, i które biało-czerwony kolor chłopskiej sukmany utożsamiły z białym i czerwonym kolorem ojczyzny. Ten motyw jest najpierw i przedewszystkiem radosny. Tak radosny i pogodny, że upadek Kościuszki pod Maciejowicami, beznadziejny okrzyk, który legenda włożyła mu w usta, sztych bolesny, na którym cesarz Paweł darzy Naczelnika wolnością, nie były w stanie zatrzeć obrazu Kościuszki w sukmanie na koniu, prowadzonego piosenkami, rodzącemi się przez cały w. XIX, obrazu mającego w naiwnej świeżości przetrwać w duszy narodu aż do owej liljowej, jakże podkrakowskiej jutrzenki na płótnie Chełmońskiego, w której majaczy na wzgórzu cień Naczelnika na koniu, a naprzodzie chłopi krakowscy modlą się i całują ziemię. W tym motywie, w tym wątku, jakby ozwały się stare sielanki, jakby ludowość Szymonowicza i Zimorowicza na nutę raźniejszą, bohaterską. Rodzi też owa chłopska brawura, poemat przedziwnie czysty, przezroczysty, wycyzelowany przez nielada złotnika, bo Lenartowicza, prawdziwe arcydzieło, które aż pachnie jakąś wielkanocną wiosną, w którem naiwność sięga najdoskonalszej sztuki:

Do Racławic ciągną nasi
Po cztery, po cztery.
Madaliński z hułanami,
Potem kosyniery.
. . . . . .
Jedzie, jedzie nasz Kościuszko,
Pod nim konik siwy;
Co naczelnik, to naczelnik,
To już nasz prawdziwy.
. . . . . .
Jeszcze takie, Naczelniku,
Prawo nie nastało,
Żeby się to polskie wojsko
Moskiewskiego bało.
. . . . . .
Czyście dobrze zrozumieli,
Dobrze wysłuchali?
— Zrozumielim, Naczelniku,
Trzeba bić Moskali!...

Jest widać w tej legendzie jakaś istotna moc wiary i radości, skoro ktokolwiek tknął się jej, zawsze dobywał owego tonu. Anczyc stwarza, biorąc ją za temat, na długie lata wzór sztuki wzruszającej a budzącej radość i wiarę, na tę samą nutę są wiersze kościuszkowskie Konopnickiej i ten sam kolor jutrzenki, jakby zapach poranka w obrazie Chełmońskiego. Rok 48 miesza ten obraz, i poczynając od wojny Krasińskiego ze Słowackim, poprzez skargi Jeremiego, trwa jakby walka tych dwóch motywów, Bartosza Głowackiego i Szeli, walka, której echami odzywają się «Wesele» i «Turoń».

«Wesele» pokazuje najpierw jak bardzo ten kościuszkowski motyw wszedł w życie polskie. Oto izba, w której gospodarzy jeden z najbardziej szlagońskich Polaków, po swojemu wcielający te idee w życie, bo wziął sobie za żonę gospodarską córkę; z jej siostrą żeni się teraz sławny dystrakt i poeta-klasyk w binoklach na nosie. Na ścianie jakiś sztych z Kościuszką, sukmany mieszają się z frakami panów z miasta, od pierwszej sceny chłopi powołują się na Bartosza: oto apoteoza i zawsze po niej idąca parodja tego motywu. W drugim akcie widzimy odwrócenie, pokazujące jak bardzo Wyspiański czuł rzeczywistość duchową, jak bardzo obcował z duchami, bo oto do żywych ludzi, do Włodzimierza i Kazimierza Tetmajerów, do Rydla, do Rudolfa Starzewskiego, przychodzą zjawy z obrazów Matejki, i te zjawy dopiero mówią prawdę, dopiero one widzą rzeczywistość, one są dopiero «personae dramatis», którego ci żywi, niebywałe żywi goście weselni nie byli w stanie dojrzeć i przeżyć. Czar, który tych ludzi wiąże, to bynajmniej nie jest historja, boć to historja właśnie głosem owych matejkowskich duchów przywołuje ich do rzeczywistości. Jest to zato owe fałszywe pojęcie historji, jest to mit racławicki, który wyrodził się w ową szopkę narodową panów przebierających się w sukmany, i jest to wreszcie owa «rzecz czarnoleska», która przerodziła się w Nawłoć, w niesmiertelny werset Wyspiańskiego: «Niech na całym świecie woina, byle polska wieś spokojna». Twarz w twarz z tym mitem, urzekającym zarówno panów z miasta jak owego weseliskowego Czepca i Jaśka, który zgubił róg złoty, stawia Wyspiański widmo Szeli, wlokące się za Dziadem w drugim akcie i krwawiące izbę. Czy to znaczy, że Wyspiański bronił szlachetczyzny i stawał za Krasińskim, czy że za Słowackim chciał wyszydzać tych, których straszyło owe krwawe widmo i wołać: «A ty zląkł się syn szlachecki»... Napewno nie. Był on wielkim burzycielem mitów i zarazem twórcą mitów potężnych, któreby wołały do ciągłego wysiłku, nie martwiały w łatwych obrzędach. Chciał on od narodu odwagi, patrzenia wgłąb, otwarcia oczu na wszystkie czyhające chimery i zasadzki, i «Wesele» jest jakby wołaniem o ten mit nowy, lepszy, bardziej niż dotychczasowy prawdziwy, mit, zdolny pochłonąć w sobie straszną historję Szeli, zdolny ją zrozumieć i rozgrzeszyć. Ten mit dał Wyspiański jeszcze w Bolesławie Śmiałym, owym królu sukmannym, który ubrany jest jak chłop, mówi jak chłop i w którym tkwi owa tragiczna siła, rodząca historję. Owe sukmany Bolesława Śmiałego, to nie był tylko świetny malarski pomysł, jasnowidzenie archeologiczne, poszukiwanie niebywałego dotąd stylu. Było to nadewszystko jasnowidzenie przeszłości, pojęcie że szlachta polska byli to chłopi, którym dane było wziąć historję w swoje ręce, że kiedyś była w szlachcie ta sama elementarna co w chłopach siła, idąca od ziemi, od Wisły, od rusałek i krasawic: to co jest dnem narodu polskiego — mówi Wyspiański — jest to wiejskość, i tylko ten kto czuje ziemię, kogo wabią głosy rusałek, żyje prawdziwem życiem i poznaje jego tajemnice. Bolesław Śmiały usypiającemu czarowi Chochoła i racławickiej chaty, zarówno jak krwawej legendzie Szeli, przeciwstawia siłę prymitywną, siłę twórczą, pełną poezji i okrutną, jedynie zdolną tworzyć rzeczywistość i tworzyć mity.

Nie jest to też przypadek, że Kazimierz Tetmajer był na weselu w Bronowicach, jest to piękny fakt ze świata tego jakże polskiego mieszania się marzenia z rzeczywistością, iż Tetmajer był w Bronowicach drużbą Rydla, że on to był owym poetą z «Wesela», on któ-

*) Wykład wygłoszony dn. 2 lutego b. r. w Uniwersytecie Polskim Zagranicą; por. wykład z dn. 26 stycznia b. r. p. t. «Tradycja i nowość w literaturze polskiej» (nr. 2 «Wiadomości Polskich») i «Poezja Warszawy» (nr. 5 «Wiadomości Polskich»).

RAFAŁ MALCZEWSKI

ZBYTECZNA WRAŻLIWOŚĆ

„Generał-gubernator" Frank otrzymał na uniwersytecie włoskim w Modenie tytuł doktora honoris causa. Tego się pewno nie spodziewał. Bynajmniej nie przez skromność. Mógł jednak sądzić, że raczej łowcy głów na Formozie dadzą mu tytuł honorowego „wodza" i parę spreparowanych główek prześlą na jego ręce, niż to by światli mężowie nauki czcili go za to, że tak okrutnie obszedł się z ich polskimi kolegami. Musiał się zdumieć, on — krwawe ramię zbrodni stada mieniącego się narodem, popełnianej na bezbronnem społeczeństwie polskiem. Zdziwienie musiało być tem większe, że pomysł ów zrodził się we Włoszech, na ziemi, gdzie powstało rzymskie prawo.

Dla nas pozostało: „guarda e passa". Bardziej może nas wzruszyć wiadomość wyczytana w prasie, że w kolarskim biegu dookoła Niemiec weźmie udział ekipa belgijska. Trasa biegu, który odbędzie się w czerwcu b. r., ominie z dość zrozumiałych względów kraje nadreńskie. Cykliści startować będą w Kłajpedzie, poczem pomkną do Gdańska i poprzez „wcielone" ziemie polskie, czeskie i austrjackie zbliżą się do sfery niebezpiecznego zachodu. Nic nam do tego że zespół supernordyków będzie przez wiele dni kręcił pedałami, dając dowód krzepy germańskiej. Z zaciekawieniem jednak czytaliśmy wzmiankę o

Więc tak łatwo zapomina się o własnych dziejach? Wątpimy, czy byłoby miło ich ojcom patrzyć w latach 1914 — 1918 na przebieg podobnej imprezy zorganizowanej na obszarze ich ojczyzny. Zwłaszcza gdyby znaleźli się tacy sportowcy z grona narodów małych, szczycących się wysoką kulturą, którzyby odważyli się profanować męczeńską ziemię parą neutralnych dętek. Wiadomo o co chodzi hitlerowskim zbirom. Pragną przy tej sposobności poszczycić się ładem panującym w okupowanych państwach, niemczyzną nowej hitlerji. Cyklistę łatwo kiwnąć i dlatego można ich wpuścić w granice kraju rozpaczy. Nie ujrzą ani widm pomordowanych, ani żywych Polaków przegnanych z tych ziem.

I w tym wypadku nie warto nad tem rozmyślać i — co gorsza — boleć. Przedewszystkiem, niewiadomo, co się stanie do czerwca. Na którego z „neutralnych" — po Danji — rzuci się krokodyl. Czy cykliści wypuszczą pompkę rowerową z dłoni i chwycą za karabin, czy organizatorowie zawodów sami nie siądą na bylejakiego tłuka i nie pognają w panice ku wschodowi. Ponadto trzeba się wyzwolić z działania tym podobnych trucizn. Te, o których pisaliśmy, nie zagrażają życiu, dawkę ich zniesie nawet wydelikacony organizm. Właśnie z ich pomocą możemy się zahartować, tak abyśmy mogli bezkarnie pochłaniać stokrotnie większe i straszniejsze porcje trucizn. Tych zaś nie brak, o jadowitości bijącej wydzielinę kobry.

Jak wspaniałemi postaciami byli Nansen, Amundsen i wielu innych Skandynawów. Kochaliśmy ich, bili czołem przed ich postawą, pełnych, wspaniałych ludzi. Już nie żyją i nie patrzą jak niektóre z ich narodów zaparły się istoty ich czynów, bezinteresownego bohaterstwa, honoru i woli. Amundsen nie wahał się wsiąść w samolot i lecieć z pomocą Nobilemu, choć wiedział jak małe istnieją szanse powrotu. Zginął, chcąc ratować człowieka, którego, mówiąc miękko, nie szanował. Duch Amundsena musiał unosić się nad Finlandją w okresie jej walki z Rosją. Można przypuszczać, że tam pozostał.

Straszliwy cios, który otrzymaliśmy, zbudził nas i wyrzucił poza obręb targowiska niktych, codziennych spraw. Olbrzymia większość Polaków przeżyła piekło wstydu za tych, którzy ich oszukali. W jedno wierzyli — w wojskową potęgę armji, i to zostało wdeptane w nicość, spotwornione ohydą ucieczki wodza. Jesteśmy ciężko ranni i czulsi na wszelki uraz. A ponadto nie umiemy panować nad obrzydzeniem. W ciągu ostatnich lat dwudziestu świat sparszywiał. Zagazowany cynizmem i tchórzostwem, z wprawą sędziwej prostytutki odmładza swoje oblicze szminką frazesu. W mrokach nocy katowanego narodu, w Polsce krwawiącej pod ciosami bestji niszczącej wszystko co wyrosło z ducha człowieczeństwa, wierzyliśmy jeszcze w prawdziwość tej urody. Z dna otchłani śledziliśmy miraże piękna, łowionego ustawiczną emisją nadziei, wysyłaną w wolną przestrzeń wspomnienia o nim. Ostrość naszego widzenia pracowała tylko na krótkiej fali, w obrębie ścian kaźni, w której nas zamknięto. Zato jednak nauczyliśmy się cenić i poznawać od jednego rzutu rzetelność prawdziwej woli, prawość serc tętniących żywą krwią, sumienie czyste, nieugiętość odwagi. W ciasnym kręgu bezpośredniej grozy obnażyły się z wszelkich łachów i maskarad wnętrza ludzkie. Każde jutro było dalekie, wiele dalsze od możliwości śmierci... nie było czasu na zbyteczne gesty, każdy zdzierał z siebie maskę, by być sobą choć raz ostatni w życiu.

Komu się udało uciec stamtąd, zachłystywał się w pierwszej chwili wiewem wolności, bijącym na jego usta. Olśniewało go światło łaskawego nieba, jego — który żył w lochu rozjaśnionym gorzeniem serc współwięźniów. Wracał z powrotem w obszar świata rządzonego prawem. Witał wymarzoną zjawę, duszą obmytą cierpieniem, uczuloną tęsknotą, prostą jak u dziecka, ufną.

Szczasem, gdy przestała razić go jasność normalnego życia, spostrzegał z przerażeniem, nędzę „szminki" i szkaradieństwo zdobytej nanowo rzeczywistości. Grymas zestraszonej małpy, wszawy uśmiech wycirucha i kabotyna nie złudził go ani na chwilę. Zmysły jego nie zbrukały się jeszcze i nie zatęchły w tłuszczu wygódek. Wyszedł ze społeczności roztrzaskanej gromem, spętanej kosmatą łapą zwierza i czarta zarazem, nie pojmował bezgranicznych poniżań się innych narodów wobec tych właśnie oprawców. To już nie zawód — to najokrutniejszy dramat.

Niech nie rozpacza jednak — przyjdzie czas gdy odrośnie mu naskórek twardy jak rzemień. Znowu otorbi się i nasiąknie cynizmem. Straci węch i nie będzie czuł smrodu padliny rozkładającego się świata.

RAFAŁ MALCZEWSKI.

ry miał właśnie stworzyć ów mit, śniony przez Wyspiańskiego, że miał zaczarowany przez ojczyste strony, zaczarować je skolei i sam nerwowiec, jak myślał — schyłkowiec, dać swej poezji wizję wiejską, do której odtąd odbywać będzie pielgrzymki cała sztuka polska. Tetmajer, szlacheckie dziecko Tatr, w chwili kiedy drużbował Rydlowi w Bronowicach, był najbardziej miejskim poetą, jak się wtedy nazywało — nastrojowym, ulubieńcem dam, kokietował nerwowością, zmysłami, niewiarą, i kiedy przyjechał do Bronowic, doskonale wyrażał tę chorobliwą tęsknotę mieszczuchów do wsi, która wyswatała niezdarnego Rydla z chłopką i która bałamuciła się racławicko. Niewiadomo czy kto już wybadał, czy to z samego wesela w Bronowicach, czy dopiero z odbicia się w tem czarodziejskiem lustrze, jakiem musiała być dla niego postać Poety, wyniósł Tetmajer tęsknotę do stworzenia potężnego dzieła, którem najpierw daremnie chciał uczynić «Zawiszę Czarnego», dając tylko piękny dźwięk i znów marzenie. I oto dotknięcie się ojczystej okolicy czyni naraz Tetmajera twórcą, któremu trudno znaleźć równego we współczesnej poezji, chyba że go porównać z Mistralem, twórcą, który nie opiewa mitu, ale go tworzy, potwierdzając w olbrzymiej skali zarozumiały paradoks Wilde'a, że sztuka tworzy rzeczywistość. Zakopane i Tatry odkryte zostały, to prawda, przez Chałubińskiego i ks. Stolarczyka; Sabała, to prawda, jeszcze przed Tetmajerem opowiadał swe zbójnickie bajki. Ale Tetmajer dopiero dał wielkość, homerycką potęgę «Legendzie Tatr», on dopiero stworzył górali i zbójników na nigdy niebywałą miarę, on dopiero nad folklorystyczno-lecznicze Zakopanem rozsnuł wspaniałe, chmurne niebo mitu, od niego zaczyna się ta wędrówka duszy polskiej do owego, prymitywnego świata prostych uczuć nie na ludzką miarę, wędrówka, o której jeszcze nie powiedziano ile dała tej duszy hartu i zdrowia.

Z tego że literatura polska jest wiejska, wynika oczywiście jej regjonalizm, i pojawia się on w niej bardzo wcześnie, czy to w poezji jako rytm i sentyment szczególny, czy to w prozie jako szczególna anegdota i osobliwy kostjum. Trudno mówić wobec wielkości Mickiewicza o jego regjonalizmie litewskim, choć podziśdzień największym regjonalizmem w naszej poezji jest niewątpliwie początek «Pana Tadeusza» ze zdumiewającą apostrofą «Litwo, Ojczyzno moja»... Ale oczywiście «Pan Tadeusz», przy całej ścisłości naukowej, geograficznej i historycznej, jest symbolem całej Polski, regjonalne podniesione jest w nim do narodowego. Nie jest też oczywiście regjonalistą, mimo że ruskie i litewskie jest mu szczególnie bliskie, Słowacki, choć w rozkwitnięciu poezji polskiej dzięki niemu i Mickiewiczowi niesposób nie widzieć tryumfu spolonizowanych, przesiąkniętych kulturą polską kresowych pasyj i melancholij. Ale mniejsi romantycy wyrażają te elementy regjonalne nie przetworzone, w całym ich folklorystycznym uroku i zarazem nieartystycznej autentyczności; jedni wyższego, inni słabszego lotu, wnoszą do naszego piśmiennictwa rozmaitość kolorytu, nastroju, ciekawostki, które jeśli nie stają się jej istotnem bogactwem, to przecież prawdziwą ozdobą. Tak więc ten ton regjonalny odzywa się głosem prawdziwej poezji u ukraińskiego słowika Bohdana Zaleskiego, do którego nie tylko że Mickiewicz miał słabość, ale istotnie bardzo sobie dużo robił z jego stepowej melodyjności. Tak samo jest jakaś czarująca, prowincjonalna, zagrodowa, chodaczkowa, litewska epickość u zacnego Syrokomli, który pięknie klasyków tłumaczył i stąd w swych gawędach używał dla swych prostych sentymentów ślicznej i muzykalnej mowy. Regjonalistą więcej niż inni był Goszczyński, regjonalistą też Edmund Wasilewski, autor «Krakowiaków». Przedewszystkiem zaś Lenartowicz mazowiecki, przez jakiś dar szczególny zdołał w swym określonym i niewielkim rodzaju wznieść się do sztuki najwyższej. Zdołał on oddać poezję rzeczy najprostszych, najmniej zdawałoby się, poetycznych, ubogich, a jakże mazowieckich, jak owe sosny na piaskach, jak brzeg nadwiślański, jak zagroda z żurawiem u studni jako jedyną ozdobą, jak wreszcie droga piaszczysta wśród lasów i kartoflisko w jesienną szarugę. Żeromski miał łzy w oczach ilekroć cytował wiersze Lenartowicza i pięknie w jednej ze swych powojennych broszur pisał o owych zwrotkach, które są swego rodzaju arcydziełem artystycznej oszczędności, oddając zarazem całą tak trudną poezję i melancholję mazowieckiej biedy:

Idzie sobie pachołę
Przez zagony, przez pole.
Wielki wicher, ulewa,
A to idzie i śpiewa.

Wyszedł z gaju gajowy
I ozwie się w te słowy:
— Taka bieda na dworze,
A ty śpiewasz, nieboże...

Był też Lenartowicz zdolny do subtelności i odkryć, które cenę dzisiejszemu pokoleniu nieznane, graniczą z istotnemi nowościami naszych czasów, ma on strofy o czarującej irracjonalności dobrane jak przez złotnika, i nic dziwnego że jeden z piękniejszych wierszy Marji Jasnorzewskiej jest warjacją na temat owego, jubilerskiej zaiste roboty, «Złotego kubka», jak też że Żeromski cytował z zachwytem ową absurdalną i czarującą zwrotkę:

I napisał liścik drobny
Złotoocznem piórkiem pawia,
Ale taki niepodobny,
Że co słówko to zakrawia.

I otóż Tatry Tetmajera będąc napozór przedewszystkiem odkryciem nowej dzielnicy, nowego motywu, nowego kostjumu, wznoszą się nad ten problem regjonalny, który ginie w innej o wiele większej sprawie, zrodzonej z dramatu «Wesela» i tęsknoty do nowego mitu. Jeżeli mówimy, że Tatr nie odkrył Tetmajer, to dlatego że istniały one choćby w «Krakowiakach i góralach», choćby w «Halce» Moniuszki, w jakże uczonych i chłodnych wierszach Asnyka, i w regjonalnej właśnie poezji Franciszka Nowickiego. Ale Tetmajer spojrzał na Tatry wzrokiem twórcy i sprowadził na naszą równinę, na jakże wtedy smutną polską płaszczyznę, niebywały ród homerycki bez nerwów, wahań i tanich sentymentów, lud nietknięty kalectwem chłopskiej sprawy, sam sobie wymierzający sprawiedliwość, lud pański, lud wolny. Na słabość polską, na którą sam jakże był wtedy chory, na nędzę naszej niewoli, na skazańcze zamknięcie w przeszłości, Tetmajer znalazł magiczny lek — nie ucieczkę ale prawdziwe wyzwolenie w owym stworzonym przez siebie świecie, który powstały ze słowa, miał się rozrosnąć jak coś naprawdę żywego i niezbędnego, dostać wspaniałych kolorów Stryjeńskiej, białości i czerni Skoczylasa i praaryjskich a jakże namiętnych tonów Karola Szymanowskiego i nawet stworzyć skolei swój regjonalizm w utworach Gwiżdża czy Galicy. Inni przed Tetmajerem pokazali drogę w Tatry, ale dopiero «Skalne Podhale» dało temu taternictwu coś czego żadna inna turystyka, żaden sport na świecie nie mają. Od Tetmajera począwszy szło się na szczyty po śladach jego półbogów, aby odszukać ich cienie, szło się, nie myśląc, że niema i nie było takiego Janosika i takich Harnasiów, że aryjskie tiary, któremi ich na swych drzeworytach ozdobił Skoczylas, były to kiedyś czapki wojskowe austrjackich dezerterów, niezdarnie później na szkle odtworzone. Przez Tetmajera Podhale stało się już nie częścią Polski ale częścią sztuki polskiej, duszy polskiej i jakby wyłomem w murze, który tę duszę i tę sztukę odgradzał od wolności.

I nie jest to przypadek, że w epoce, kiedy powstaje «Na Skalnem Podhalu», wiejskość Polska objawia się w dwóch potężnych dziełach, które są właściwie pierwszem dopiero wejściem prawdziwych chłopów do naszej literatury; jednem z tych dzieł jest organowa liryka Kasprowicza a drugiem «Chłopi».

Co zostanie z tomów wierszy, dramatów i ciężkich przekładów Kasprowicza kiedy się będzie je czytało w przyszłości nieobarczonej nakazem zachwytu dla pasowanego na największego poetę swego czasu pisarza — niesposób dzisiaj przesądzić. Oddzielone w nich będą napewno czucia głębokie, wielkość zamysłu, architektura według wzorów potężnej, kościelnej sztuki, nieraz melodje niezwykłe — od jakiegoś stłoczenia, jakiegoś oporu poetyckiej materji, jakiejś nie zawsze zamierzonej nieporadności słowa, od zamknięcia się wreszcie w kręgu potężnego ale wyłącznie jednego uczucia, od owej twardej nieczułości na wszystko, co nie było wstrząsającym, męskim płaczem duszy wygnanej z raju. I oddzielona też będzie i postawiona wśród arcydzieł poezji polskiej «Księga ubogich», pisana bez myśli że ona będzie najpierwszem dziełem poety, stworzona na przechadzce wśród gór, na prostą nutę, a będąc nie tylko najwspanialszą polską poezją religijną, ale zarazem tą, w której jest ton religijny nasz własny, właśnie z codziennego obcowania z Bogiem w przyrodzie płynący. Powiedziane będzie może o tej «Księdze», że wielkie orkiestracje Kasprowicza, jego potężne oratorja, były jedynie doświadczeniem, z którego miała powstać owa liryka, — trudno powiedzieć: olimpijska, tak bardzo jest polska, — ale w której jest właśnie ów spokój olimpijski, zrodzony ze zrozumienia życia, z dumnego stanięcia twarzą w twarz z Bogiem. I jeśli w poprzedniej twórczości Kasprowicza czuje się jakieś szamotanie, natężenie czucia i formy, dobywanie się z jakichś więzów — tutaj jest sam spokój, wyzwolenie, poznanie naturalne, spokojne, melodje płynące tak łatwo że trudno nie myśleć o Goethem, ale jakże polskim, jakże właśnie wiejskim.

Przestałem wadzić się z Bogiem —
Serdeczne to były zwady:
Zrodziła je ludzka niedola,
Na którą niema już rady.

Tliło w mej piersi zarzewie,
Materjał skier tak bogaty,
Że jeno dąć w palenisko,
A płomień ogarnie światy.

Powiedziano to nieraz, że Kasprowicz pokazał duszę chłopską w jej prostem, tragicznem poczuciu Boga, ale trzeba to przedewszystkiem powiedzieć, iż pierwszy chłop w literaturze tem odrazu się odznaczył, że zerwał z pojęciem chłopa jako czegoś wyjątkowego, że postawił się odrazu w pisarstwie nie jako piewca czy głosiciel wyjątkowości chłopskich, ale jako pisarz równy między równymi, który po chłopsku bierze udział we wspólnej sprawie, jako ten, który w życiu, z chłopskim może właśnie szacunkiem dla hierarchji i obrzędów najwięcej sobie ważył tytuł doktorski i rektorat we Lwowie.

I jeśli się pomyśli, że «Chłopi» Reymonta są niemal współcześni «Panu Balcerowi» Konopnickiej, owemu dziełu współczucia i najlepszej woli zrozumienia chłopa, jeśli pomyśli się że razem z tym szlachetnym zamysłem, zrodzonym z racławickiego mitu — powstało owo gigantyczne dzieło, którego potężna stylizacja jest tylko zolbrzymieniem jego realizmu, wtedy dopiero widzi się wielkość Reymonta. Jego epopea nie jest bynajmniej, jak się ją nieraz przedstawiało, poprostu apoteozą chłopów, pokazuje ona zarówno religijną chłopską miłość ziemi jak i chłopską zazdrość ziemi, skąpstwo ziemi, to co tak niedawno zachwycało jednego z krytyków-rewizjonistów; ów sąd nad Jagną, nad nieładem życia jest tyleż samo zdrowym instynktem gromadzkim co okrucieństwem, i sam Reymont w ostatnich słowach książki to mówi. Ale jest w «Chłopach» — w tem tkwi najważniejsza wielkość — pełnia życia, o której nie śniło się sentymentalnym przyjaciołom ludu, jest świat uformowany, namiętny, prawdziwy, świat który gdy go nam Reymont pokazał — był dla nas prawdziwem objawieniem i stał się objawieniem dla obcych.

Dzieła równego «Chłopom» nie ma żadna literatura świata, jak żadna nie ma «Pana Tadeusza», «Legendy Tatr», niema «Wesela», «Zemsty» bodaj i «Sobola i panny», a do porównań z Dygasińskim trzebaby sięgnąć zagranicą po największe nazwiska. Wschód słońca w «Panu Tadeuszu», kąpiel Warszulki, siew w «Chłopach, «Sambor» i «Mestwin» — dwa buki na porosłem janowcem wybrzeżu Bałtyku — są malarstwem pejzażowem tak wspaniałem i rozmaitem, że napewno przez największych mistrzów nieprześcignionem. I jeśli naszej literaturze brakuje ludzi miast, równie żywych, namiętnych, równie porwanych gorączką nowego życia jak ludzie Balzaka, niewiele jest poza Polską takich krwistych, namiętnych, prawdziwych ludzi ziemi, jak Cześnik, jak stary Boryna, jak harnasie Tetmajera, i kobiet tak ranną leśną poetycznością pięknych, jak Warszulka. Czy ten nurt naszego piśmiennictwa, tak od jego początku niemal niezmieniony, nie pójdzie kiedyś innem łożyskiem, czy znajdzie się w tem piśmiennictwie, jakbyśmy tego pragnęli, równy instynktowi wsi instynkt miasta, gdzie wykuwa się współczesne życie, w którem myśl para się z zagadką naszego dzisiaj, czy potrafi to piśmiennictwo przenikać człowieka, którego życie miejskie jak przyroda swe zagrożone dzieci uzbroiło w tysiączną broń sprytu, energji i woli przeciwko tak różnorodnemu okrucieństwu naszego czasu? Czy wreszcie życie nowe, w którego przyjście wierzymy wszyscy, uzyska światłego doradcę w prozie polskiej, zdolnej zrozumieć najwyższą sztukę rządów, nieuchronną a jakże tragiczną sprzeczność zarówno, dobrych woli, monotonny mechanizm ludzkich namiętności i zdolnej czuć radość rozsądzania niezmąconą myślą chaosu zdarzeń? Jest to pytanie, które stanie przed nami, jak stało od pierwszych chwil po roku osiemnastym, i nie możemy powiedzieć, aby uzyskało od naszej prozy zbyt pomyślną odpowiedź. Ta wiejska sztuka, która w wiejskim okresie naszej historji była tak wspaniałym Polski obrazem, napewno jeszcze nie wypowiedziała wszystkich tajemnic związku naszego narodu z naszą ziemią. I kiedy idziemy myślą do kraju, — a jest ona w nim prawie bezustanku, — to prowadzą nas do niego granie dwóch stawów z «Pana Tadeusza», świt ranny, przy którym szedł Boryna wzdłuż skib, rzucając ziarno, i ta muzyka taneczna, a jakże poruszająca serce, przy której kręcą się pary po bronowickiej izbie.

JAN LECHOŃ.

Przeciw
GRYPIE
MIGRENOM
NEWRALGIOM
Znajdziecie zawsze
i wszędzie...
WIELKĄ MARKĘ
FRANCUSKĄ!
PUB.
ASPIRINE
USINES DU RHÔNE

EDWARD KRAKOWSKI

CHARLES PÉGUY

BOHATERSKIE WCIELENIE FRANCJI*)

Wspomnienia o Charles Péguy wychodzą, jak ze źródła, i skupiają się, jak w soczewce, w ciasnej księgarence przy ulicy de la Sorbonne, gdzie ukazywały się «Cahiers de la Quinzaine».

W ub. r. cała Francja obchodziła pamięć tego wielkiego pisarza-bohatera.

Niech mi wolno będzie dołączyć hołd jego pamięci w postaci skromnej wiązanki moich osobistych o nim wspomnień. I one zbiegają się w tej księgarence, tak jak z niej promieniowały na świat dzieła Péguy.

Tam go ujrzałem po raz pierwszy, tam oceniłem potęgę jego genjuszu.

W latach 1913 — 1914 pędziłem typowy tryb życia polskiego studenta w Paryżu.

Pomniki, muzea, fakultety, bibljoteki, żaden z licznych objawów intelektualnej stolicy świata nie mógł znużyć mej wiecznie napiętej ciekawości. Erudycja francuska czarowała mnie, dzięki profesorem Sorbony, z taką uprzejmością i życzliwością odnoszącym się do słuchaczy.

Kiedy się ma lat dwadzieścia, ich powaga i elokwencja ukazuje nam na katedrach jedynie mędrców. Ta mądrość nie syci jednak młodego słuchacza do tego stopnia, by nie czuł w duszy pragnienia wyrwania się spod stropów amfiteatru, szukania gdzieindziej przygód intelektualnych.

W owej to właśnie epoce Péguy reprezentował — aby się tak wyrazić — kontrnauczanie, coś przeciwnego oficjalnemu nauczaniu, jakąś namiętną, gwałtowną opozycję intelektualną, wyrażającą się — symbolicznie — położeniem jego księgarenki «naprzeciw» Sorbony. Jakże się tu oprzeć niepohamowanej chętce, by choć na chwilkę wpaść na «tamtą» stronę! Péguy był stale przedmiotem naszych rozmów studenckich, pełnych zainteresowania i podziwu, ale co ciekawsze, i jego przeciwnicy — wiem o tem dobrze — żywili dlań również podziw instynktowny. Stale prześladowała mnie myśl, czy dane mi będzie poznać i zbliżyć się do niego. W dwudziestym roku życia nasza odwaga ma zawsze pewną przymieszkę obawy. Marzymy o zdobywaniu przeszkód, których najczęściej niema, o podbojach, których niema potrzeby dokonywać, bo przed naszą słuszną ciekawością najczęściej bramy stoją otworem naoścież.

W tym stanie trwożnego oczekiwania jedna z koleżanek, namiętna czytelniczka Péguy, wprowadziła mnie do jego księgarenki.

Znałem już wówczas z jej ust wszystkie szczegóły dotyczące Péguy, spopularyzowane później przez jego biografów. Wiedziałem, że ojciec jego był chłopem, że matka trudniła się rzemiosłem, że spędził lata dziecinne na wsi, w ubóstwie. Wiedziałem, że dzięki zawziętej, ciężkiej pracy doszedł do Wyższej Szkoły Normalnej, że się potym zbuntował przeciw oficjalnemu nauczaniu, które tam otrzymał. Wiedziałem, że był tak gorącym i namiętnym socjalistą, iż go to poróżniło z socjalistami. Wiedziałem wkońcu, że jeżeli wybrał ryzykowny zawód wydawcy-autora, uczynił to, uważając ten zawód za rodzaj kapłaństwa, a bynajmniej nie za źródło zysków i zapewnienie sobie wygodnego życia.

Ten syn chłopski, który zachował wygląd chłopski, nie tylko się swego pochodzenia nie wypierał, ale przeciwnie, podkreślał je z upodobaniem i czerpał z niego słuszną dumę.

★

Znalazłszy się w jego skromnej «boutique», z której bił osobliwy urok, zacząłem się przyglądać «człowiekowi». Krótka, przystrzyżona w kwadrat broda, profesorskie binokle, delikatne ręce, jak u rasowego intelektualisty. Wszystko to stanowiło na pierwszy rzut oka kontrast z postacią tęgiego, barczystego chłopa, średniego wzrostu, o ruchach nieco ciężkich, chłopa wyrosłego z gleby i związanego z nią tak silnie, że go stamtąd żaden wzlot na najwyższe szczyty życia duchowego nie zdołał nigdy wykorzenić. Przeciwnie, z tego związku z ziemią czerpał on zapał jako polemista, natchnienie jako poeta i filozof.

Napatrzywszy się człowiekowi, rozejrzałem się po księgarence. Bergson wyraził się o niej w liście do Daniela Halévy, iż jest tak ciasna, że ledwie jeden gość może tam siedzieć, reszta — najwyżej dwu czy trzech — może z trudem pomieścić się stojąc. Bergson również zwrócił uwagę na kontrast między tą skromniutką «boutique» a potęgą myśli, która stąd wylatywała, by ożywić świat. O tej księgarence również niema co się rozpisywać. Wyobrażam sobie, że równie nędznie musiała wyglądać izba Spinozy lub pierwsze laboratorjum Branly'ego.

Księgarenka Péguy była biedna, jak przystoi miejscu do pracy i rozmyślań. Tam to sprzedawano «Les Cahiers».

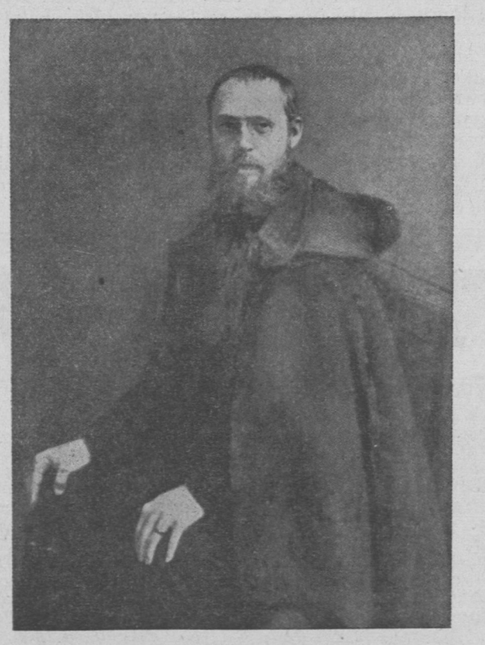

Charles Péguy
w. r. 1908
portret J. P. Laurensa

tam je też głównie układano i omawiano. Rzeczy materjalne poświęcono tam — zupełnie logicznie — rzeczom duchowym. Księgarenka była pokryta warstwą kurzu, panował tam nieład, ale rozbrzmiewała echem rozmów elity duchowej, a kiedy Péguy przychodził, panowała w niej osobliwa klasztorna cisza. W tej «boutique» Péguy był bardziej «u siebie», niż w «Ecole Normale» czy w Sorbonie.

Wyszedł on ze socjalizmu, ale z tego, który był bliższy Proudhonowi niż Marxowi. Jego socjalizm, to był typowy bunt chłopski, nie przeciw burżuazji, której zasługi i wartość szczasem dopiero miał zrozumieć, ale przeciwko pierwiastkowi sztuczności, który zawładnął burżuazją. Rozpoznał on ten pierwiastek rychło u tych, których zrazu uważał za towarzyszy walki. Jako chłop, który wyrósł z gleby, nie mógł się pogodzić z żadną odmianą egoizmu, nawet patrjotycznego. Poznawszy różne doktryny, marzył o ich żywej, harmonijnej syntezie, któraby się utożsamiała z samą Francją.

Czy to wszystko uwydatniało się w jego twarzy? Dziś miałbym ochotę odpowiedzieć twierdząco. Ale napewno uwydatniała się w jego twarzy bezbrzeżna uczciwość, zdolna do najcięższej krytyki, uczciwość agresywna, którąbym nazwał wojowniczą, gotowa do walki o sprawy szlachetne, nie troszcząca się ani o interes własny, ani o cudzy.

Jego słowo przemawiało jeszcze dobitniej niż twarz. Jego mowa była gwałtowna, pełna zapału, gotowa do przeskoku od podziwu do gniewu, nigdy jednak nie odłączona od troski i zachowanie wielkoduszności. Co nie znaczy, by zawsze był sprawiedliwy w swych sądach. Wielkie namiętności rzadko złączone są ze sprawiedliwością. Epitety, któremi Péguy smagał ludzi i rzeczy, rzadko bywały sprawiedliwe w sensie, jaki zwykle przypisujemy temu pojęciu. Bo o co chodziło w rzeczywistości? Niesprawiedliwość w słowach pochodziła z najwyższego pragnienia sprawiedliwości bezwzględnej.

★

Na wielkich zebraniach «Cahiers de la Quinzaine» bywałem rzadkim gościem. Georges'a Sorela, stałego ich przez długi czas uczestnika, spotykałem gdzieindziej. Ale bywałem częstym gościem w księgarence, w roli dobrego znajomego, który zachodził tam prosto z Sorbony, ulegając nieprzepartej chętce tych wizyt. Péguy przyjmował mnie zawsze. Czasami, naglony pracą, prosił abym mu pomógł w ekspedycji czy korekcie. Nic tak nie zbliża ludzi jak wspólna skromna praca.

Byłem wówczas pogrążony w Plotynie i filozofach nowoplatońskich. Rozmawialiśmy tedy często o Plotynie i Platonie. Przypominało mu to czasy jego własnych studjów, tak odległe nie tyle liczbą lat upłynionych, ile wyczerpującą pracą. Dzięki głębokiemu wykształceniu, nieskażonemu nigdy pedantyzmem, Péguy orjentował się szybko i dokładnie we wszelkich zagadnieniach filozoficznych i społecznych. Ale dzięki świeżości swego chłopskiego umysłu umiał wszystkie te zagadnienia ujmować w słowa konkretne i — co ważniejsza — łączyć je ze współczesnością i aktualnością.

Bergson powiedział o nim, że «jest on z materjału, z którego powstają bohaterowie i święci». I rzeczywiście — bez popadania w złudzenie wstecz — taki właśnie sąd narzucał się, kiedy się go obserwowało.

Aby zrozumieć dobrze Péguy, należy zdać sobie sprawę przedewszystkiem z tego, jak bardzo cała jego osoba, równocześnie wątła i krzepka, była potwierdzeniem jego żywej wiary, zawsze gotowej do akcji. Kiedy się to zrozumiało, inaczej się go słuchało w tej księgarence, gdy się w rozmowie zapalał, polemizował, egzaltował; wtedy jego ostatnie poświęcenie nie było niespodzianką. Wówczas nie wiedzieliśmy jeszcze, gdzie i jak się ono odbędzie, jakie będzie jego przeznaczenie, ale byliśmy pewni, że się ono dokona. Niejeden z jego przyjaciół, do których się sam zaliczam, przeczuwał wówczas, że będzie to poświęcenie dla Francji, w owej chwili już zagrożonej wojną.

Z postaci Péguy biła Francja, cała Francja, i ta tradycyjna, zamiłowana w porządku i autorytecie, bo w swej istocie był to chłop-rękodzielnik, jak jest nim każdy prawdziwy artysta, jak był nim Norwid, i Francja rewolucyjna, żądna wolności, sprawiedliwości, humanitaryzmu, bo Péguy przeszedł przez socjalizm. A wreszcie Francja mistyczna, Francja gotyckich katedr i klasztorów. Ta to właśnie Francja katolicka, ze wszystkich wspomnianych składników francuskich konstruowała w Péguy syntezę, a raczej — był to uczeń Bergsona — realizowała w jego duszy intuicyjną harmonję.

Katedra jest bowiem w swej istocie równocześnie Bogiem i miastem, czemś ziemskiem a zarazem duchowem.

Kiedy Péguy zarzucał kierunkom politycznym, że dla łatwych zysków wyrzekają się mistyki, w ten pośredni sposób określał istotne dążenie własnego ducha, a mianowicie nie poświęcać nigdy nic z ideału na rzecz tak zwanej rzeczywistości, ale przeciwnie, podnosić nieustannie rzeczywistość ku wyżynom ideału, zbudowanego nie z pustych idej, ale z uczuć wypróbowanych, z dyscypliny, na którąśmy się zgodzili, słowem, z «rzeczywistości» innego jednak rodzaju.

Nie wiem, czy dosyć wyraźnie podkreśliłem, jaka duma biła z tego człowieka prostego, z tego gorącego chrześcijanina. Taka duma nie mogła stać w sprzeczności z pokorą, której wymagała jego wiara, a tem więcej nie mogła obrażać jego skromności. Była to duma nieodłączna od uczucia niepodległości, duma człowieka, który ma w sobie dosyć woli, by mieć pewność, że przez swą pracę i — w razie potrzeby — przez swe poświęcenie nie będzie nigdy od nikogo zależny. Czasami taka niezależność mogła sprawiać wrażenie szorstkości, ale wtedy przeczyły temu wrażeniu jego wzrok i subtelne odcienie w głosie.

Niech na tem zakończą się moje osobiste o nim notatki. Najlepsi biografowie Péguy nie zdołają nawet ukazać jego zewnętrznego wyglądu, jeśli nie będą mówili o jego duszy, o jego myśli, która — w arystotelesowskiem znaczeniu słowa — uformowała istotnie jego ciało.

EDWARD KRAKOWSKI.

*) W dalszych numerach «Wiadomości Polskich»: «Charles Péguy — bojownik prawdy i apostoł pracy» oraz «Ostatnia tajemnica Charles'a Péguy».

AKTUALNOŚCI POLITYCZNE I WOJENNE

GŁOSY ŚWIATA

BILANS

Z różnymi ludźmi rozmawia się o wojnie. Ja — rozmawiałem z bokserem. Z zawodowym bokserem, a przytem neutralnym, bo amerykańskim. Mówiliśmy o tem, o czem się powszechnie mówi. Że na Zachodzie wojna właściwie jeszcze się nie rozpoczęła, że sprzymierzeni są bezczynni, że niewiadomo właściwie co z tego będzie.

Bokser zaczął mi wykładać gardłowym «slang»iem z nowojorskiego przedmieścia:

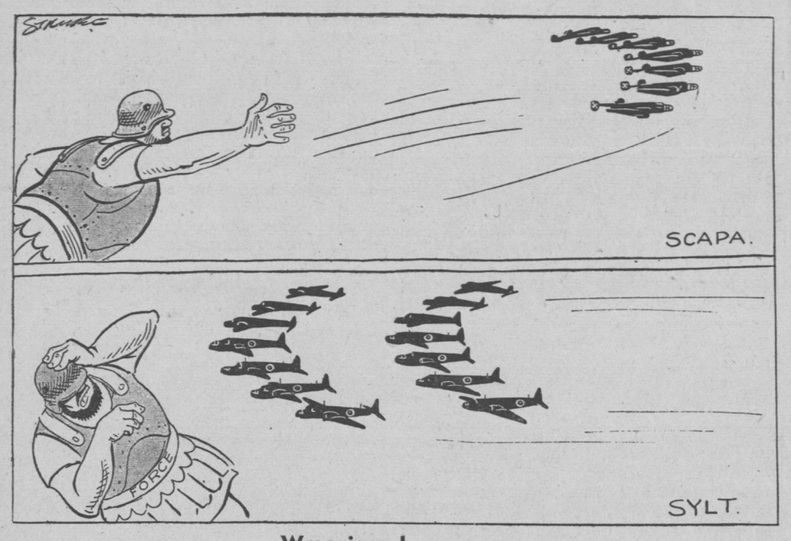

Wracający bumerang

(„Daily Express")

— Już to od różnych kompanów w Europie słyszałem, od Francuzów i Anglików. Niecierpliwią się — ha! — ja tam na to wszystko inaczej patrzę. Nie mają racji. Ta wojna, to nie byle jaka walka, która się rozstrzyga w trzy czy pięć rund... To przecież walka o mistrzostwo świata, to «championship», to musi pociągnąć piętnaście rund i ani jednej mniej! Tak, panie, piętnaście rund, jak największe nasze amerykańskie walki o panowanie w bokserskim świecie. Piętnaście i aż do «knock out», tu, panie «knock out» jest zupełnie pewny, wątpliwości niema, ale to musi trwać, i dlatego trzeba cierpliwości. Możecie punktować po każdej rundzie i wtedy się przekonacie, że idziecie do wygranej, choć może jakaś jedna czy druga runda wypaść nawet na korzyść przeciwnika. Piętnastorundowa będzie, a wy możeście skończyli dopiero pierwszą albo drugą. Nie wolno się niecierpliwić, tylko liczyć punkty. «Keep smiling», bo «knock out» pewny.

Więc liczyć punkty. Bokser chyba miał rację, bo u schyłku pierwszego kwartału 1940 r. posypały się w prasie bodaj całego świata pewne podsumowania rezultatów pierwszych siedmiu miesięcy wojny. Pierwszej czy najwyżej drugiej rundy z tych piętnastu, które trzeba odbyć aż do chwili, kiedy przeciwnik znajdzie się na deskach.

Jednogłośna jest ocena tych siedmiu miesięcy jako okresu wyrównania przez sprzymierzonych różnicy w uzbrojeniu, a głównie w wyposażeniu do wojny powietrznej, jaka dzieliła ich od kompletnie technicznie przygotowanych Niemiec.

Rzeczoznawca francuski, gen. Pujo, zestawił w «Revue des Deux Mondes» wyniki pierwszego półrocza wojny w dziedzinie przygotowań do wojny lotniczej na wielką skalę. Zdaniem jego, w chwili rozpoczęcia wojny, Niemcy posiadały 4800 samolotów, Francja — 1500 i Wielka Brytanja 1500. Mimo iż wszystko, co się w tej dziedzinie dzieje jest otoczone ścisłą tajemnicą, gen. Pujo, zestawiając niektóre oświadczenia ministrów lotnictwa Francji i Wielkiej Brytanji, dochodzi do przekonania, że seryjna produkcja samolotów wszystkich typów została już czterokrotnie zwiększona. Liczba robotników, zatrudnionych w przemyśle lotniczym, zwiększyła się w porównaniu z r. 1936 siedmiokrotnie. W samej Kanadzie powstały 74 szkoły pilotów, mechaników, radjo-telegrafistów i t. p., wyposażone w 80 lotnisk.

Prawdą jest, że Niemcy, według oceny ekspertów amerykańskich, którym gen. Pujo daje wiarę, doszły do produkcji 800 samolotów miesięcznie, ale to jest — kres! Nie istnieje techniczna możliwość przekroczenia tej liczby, choćby z powodu niemożności przywiezienia surowców. Nie istnieje natomiast kres rozwoju produkcji sprzymierzonych, zważywszy ich możliwości imperjalne, i nie licząc się nawet z równie właściwie nieograniczonemi możliwościami zakupu w Ameryce.

Bardziej wszechstronne od zestawień gen. Pujo są podsumowania amerykańskie i brytyjskie. Tam — jakby na wezwanie mego przyjaciela, boksera — naprawdę dokonano przeliczenia punktów po pierwszej rundzie. Korzystając z syntezy londyńskiego «Sunday Dispatch» i biorąc pod uwagę opinję, obserwatorów amerykańskich, prawdziwie neutralnych, bo nie grzeszących wcale zbytkiem sympatji do sprzymierzonych, doszlibyśmy do zestawienia, ujętego w 25 punktów.

1) W końcu b. r. Wielka Brytanja posiadać będzie 3 miljony, a Francja 6,5 miljonów pełnowartościowego żołnierza, przeciwko 7,5 miljonom żołnierzy niemieckich. Co najmniej 1 miljon żołnierzy niemieckich pozostawać musi w krajach okupowanych. Przewaga na rzecz sprzymierzonych: — co najmniej 2,5 miljona żołnierzy.

2) Sprzymierzeni nie mogą już obecnie — jak to mogło być na początku wojny — być zaatakowani od północnego skrzydła, przez Holandję i Belgję. Oba te państwa zakończyły budowę umocnień, które mogą wprawdzie być przez Niemców po pewnym czasie przełamane, ale tego czasu właśnie wystarczy na to, by się wojska sprzymierzone znalazły u boku Holenderów czy Belgów.

3) Sprzymierzeni przeprowadzili do końca koncentrację armji gen. Weyganda na Bliskim Wschodzie. Co najmniej 750 000 znakomicie uzbrojonych i wyposażonych ludzi gotowych jest do uderzenia, gdyby tego zaszła potrzeba.

4) Floty wojenne sprzymierzonych (1 750 000 tonn Wielkiej Brytanji i 650 000 tonn Francji) wymiotły z oceanów i mórz flotę wojenną Niemiec (170 000 tonn) i zakorkowały ją w Kilonji bardziej dokładniej, niż w czasie wojny poprzedniej.

5) Jedyna bitwa morska wojny obecnej, bitwa u ujścia Rio de la Plata, wykazała że niemieckie pancerniki nie są «niezwyciężone», jak twierdził admirał Raeder, ale — wręcz przeciwnie — dają im radę starszego typu krążowniki brytyjskie, dzięki lepszej taktyce i daleko lepszej artylerji. Dlatego od katastrofy «Grafa Spee» żaden pancernik niemiecki z portu macierzystego już się nie wychylił.

6) Z ogólnej liczby 60 łodzi podwodnych, które Niemcy posiadały w chwili rozpoczęcia wojny, zatopiono 50, a odbudowano na ich miejsce najwyżej 30, co jednak ma znaczenie dużo mniejsze, aniżeli fakt, iż na wyćwiczenie dobrej załogi łodzi podwodnej, szczególnie do zadań, jakie stawia przed nią nowoczesna wojna morska, trzeba dwóch i pół lat.

7) Pomimo przygniatającej przewagi tonnażu floty wojennej, sprzymierzeni pośpiesznie wykonywają olbrzymi program budowy jednostek wojennych.

8) Wysiłek Niemiec, który kosztował ich zdziesiątkowanie floty podwodnej, oraz bezwzględna walka przy pomocy min, przyniosły Wielkiej Brytanji stratę 750 000 tonn floty handlowej z ogólnej liczby 21 000 000 tonn, któremi dysponuje. Z 430 okrętów-cystern straciła Wielka Brytanja 18. Wszystkie stocznie brytyjskie dzień i noc budują nowe okręty handlowe. Straty Francji są właściwie żadne.

9) Z zagadnieniem «miny magnetycznej», która miała być straszliwym orężem, zapowiadanym przez Hitlera jako instrument zagłady Imperjum Brytyjskiego, uporały się laboratorja admiralicji w ciągu pięciu tygodni. Wynalazek niemiecki jest w tej chwili już bezwartościowy.

10) Wyścig produkcyjny w dziedzinie lotnictwa jest ostatecznie wygrany przez sprzymierzonych. Produkcja Wielkiej Brytanji, Francji i Kanady sięga — wedle obliczeń amerykańskich, opartych na deklaracjach Sir Kingsley Wooda, brytyjskiego ministra lotnictwa — około 1100 aparatów miesięcznie. Nie jest to kres możliwości.

11) Francuski aparat myśliwski «Morane», najmniejszy aparat bojowy na świecie, oraz brytyjskie pościgowce «Hurricane» i «Spitfire» okazały się znacznie szybsze i zwinniejsze od najnowszych typów «Messerschmitt»ów. Wyższości lotnictwa myśliwskiego sprzymierzonych została w ten sposób osiągnięta i wielekrotnie w ostatnich tygodniach stwierdzona. Pozatem: nowe «Messerschmitt»y mają tak wielką szybkość lądowania, że nie nadają się zupełnie do nocnej walki, nie mogą bowiem lądować na małych i nieoświetlonych lotniskach. Tą kapitalną wadą «Messerschmitt»ów tłumaczy się fakt niewysłania przez Niemców myśliwców przeciwko bombardującym nocą bazy na wyspie Sylt samolotom brytyjskim.

12) Lotnictwo brytyjskie odbyło 70 raidów nad Niemcami i docierało aż do Wiednia, Pragi i Poznania, przekreślając przechwałki Göringa, że «niebo niemieckie jest niedostępne dla samolotów nieprzyjacielskich». W przeciwieństwie do tego, lotnictwo niemieckie w 80 raidach na wybrzeża brytyjskie *ani razu* nie przekroczyło linji brzegu i nie zdołało wedrzeć się w głąb wysp. Pościgowce brytyjskie nie wpuściły nieprzyjaciela ani razu pod «brytyjskie niebo» i straciły 54 bombowce. Jeden pościgowiec brytyjski został przy tej okazji strącony. W raidach nad Niemcami straciła Wielka Brytanja 30 samolotów.

13) Na froncie wojny dyplomatycznej największem zwycięstwem sprzymierzonych była zmiana amerykańskiej ustawy o neutralności w tym sensie, że umożliwiła im zaopatrywania się w Ameryce, podczas gdy uniemożliwiła to Niemcom.

14) Pomimo nacisku niemieckiego i wytężonej działalności zakulisowej von Papena, Turcja podpisała układ sojuszniczy ze sprzymierzonymi, co w sposób decydujący zaważyło na sytuacji na Bałkanach i Bliskim Wschodzie.

15) Kompletne fiasco poniosła propaganda niemiecka w świecie arabskim, który zdecydowanie stoi po stronie sprzymierzonych. Jednym z licznych dowodów prawdziwości tego twierdzenia jest zupełne ustanie walk arabsko-żydowskich w Palestynie i utworzenie mieszanego palestyńskiego korpusu ochotniczego, złożonego z Arabów i Żydów. Pierwsze oddziały tego korpusu są już we Francji.

16) Włochy trwają w pozycji neutralnej, a Mołotow w ostatniej mowie oświadczył, że «Rosja nie chce być wciągnięta w wojnę».

17) Wojna kosztuje Wielką Brytanję 6,5 miljona a Francję 4 miljony funtów *dziennie*. Mimo to rezerwy finansowe obu sprzymierzeńców są praktycznie niewyczerpalne; dość powiedzieć że w Ameryce oba państwa posiadają w złocie, dolarach i papierach wartościowych oszołamiającą sumę 2 miljardów funtów. Co ta suma — w przybliżeniu — oznacza, można sobie zdać sprawę wówczas, jeżeli zważyć, że kilka tygodni temu aljancka komisja zakupów zamówiła w Ameryce samolotów za 50 miljonów funtów, czyli za 1/40 część już w Ameryce zdeponowanej sumy. Otrzymuje za to: — 800 lekkich «Douglas»ów, 800 dwumotorowych pościgowców typu «Lockheed», 1000 pościgowców «Curtiss-Wright», 500 pościgowców «Bell»a i 400 ciężkich «Lockheed»ów.

Oczywista, że zasada «cash and carry» nie usuwa Niemców od kupowania samolotów w Ameryce, muszą jednak mieć «cash», gotówkę, której nie mają, i możliwość «carry», zabrania ich na własne okręty, których wysłać nie mogą.

18) Brytyjska pożyczka wojenna, wynosząca 300 miljonów funtów, została pokryta wtrójnasób i to w ciągu kilku dni. Pomimo olbrzymiego budżetu wojennego, skarb brytyjski stwierdza 60-miljonową nadwyżkę efektywną dochodów nad wydatkami.

19) Rozmiary brytyjskiego i francuskiego handlu zagranicznego nie zmniejszyły się od chwili rozpoczęcia wojny. Pomimo niemieckich prób blokowania wybrzeży brytyjskich przez samoloty i miny, wwóz brytyjski był w ciągu stycznia i lutego b. r. znacznie większy, niż w analogicznych miesiącach ub. r.

20) Sprzymierzeni rozporządzają wszystkiemi zakładami przemysłowemi, podczas gdy w 1914 r. Francja pozbawiona była przez okupację niemiecką 23 na 25 ogółem posiadanych wielkich pieców hutniczych, 50% zakładów metalurgicznych, 40% swego węgla, 90% żelaza, 80% swego wyposażenia przemysłowego.

21) Państwa sprzymierzone podpisały w ciągu siedmiu miesięcy wojny układy handlowe ze Szwecją, Holandją, Hiszpanją, Rumunją, Belgją, Grecją, Norwegją i Danją, ustalając kontyngenty przywozowe tych państw w ten sposób, ażeby nic nie pozostawało na łamiący blokadę «re-eksport» do Niemiec. Jak zapowiedział przed tygodniem Chamberlain, układy te będą zrewidowane i szczególnie skrupulatnie wykonywane. Równocześnie sprzymierzeni przystąpili do wykupywania na rynkach państw neutralnych wszystkiego co Niemcom może się przydać. Zakupy są dokonywane za gotówkę i po dobrych cenach, podczas gdy Niemcy przeciwstawić im mogą tylko handel wymienny.

22) Zniknięcie niemieckich statków handlowych i fakt, że kontrola blokadowa konfiskuje już tylko koło 2000 tonn towarów tygodniowo, dowodzi że Niemcy zrezygnowały z prób przełamywania kordonu blokadowego i zadowalają się dostawami ljdowemi z Włoch, Rumunji i Jugosławji. Zważywszy możliwości nawet najlepiej pracującego kolejnictwa — oznacza to skurczenie się dostaw do granic minimalnych.

23) Dla prowadzenia wojny aktywnej Niemcom potrzeba 25 do 30 miljonów tonn benzyny rocznie. Z własnych, polskich i rumuńskich źródeł wydobyć mogą 10 miljonów tonn. Rosja w tej chwili dostarczyć może najwyżej 5 miljonów tonn, i wzrost tej ilości jest wysoce nieprawdobodobny.

24) Amerykańskie doniesienia dziennikarskie i raporty oficjalne wskazują na pogarszanie się sytuacji Niemiec w dziedzinie zaprowjantowania. Braki muszą być pokrywane przywozem, za który w braku złota trzeba płacić wyrobami przemysłowemi, co w znacznym stopniu wyczerpuje i tak niewielkie zapasy surowców.

25) Skandynawja objęta została działaniami wojennemi, co wydłużyło front niemiecki i pozbawiło ich korzyści gospodarczych, jakie czerpały dzięki temu, że państwa skandynawskie — wbrew przestrogom Churchilla — «karmiły krokodyla», aż je pożarł...

★

Że w tem wszystkiem niema nic nowego? Może, ale dobrze jest podsumować rezultaty pierwszej rundy, ażeby zdawać sobie sprawę z tego, że «knock out» jest pewny.

OBSERVER.

W poprzednim 6-stronicowym numerze (5) «Wiadomości Polskich» (18 ilustracyj): *Jan Lechoń:* Poezja Warszawy. — *Juljan Tuwim:* Lekcja. — *Antoni Słonimski:* Piosenka. — *Ribeiro Couto,* przełożyła *Kazimiera Iłłakowiczówna:* Lament biskupa wygnańca. Chłopak w szpitalu. — *Anton van Duinkerken,* przełożyła *Kazimiera Iłłakowiczówna:* Polska pieśń o Bożem Narodzeniu. — *Henry Coutant:* Angers, stolica Andegawenji i Polski. Artykuł napisany specjalnie dla «Wiadomości Polskich». — Aktualności Polityczne i Wojenne. *Juljusz Grot:* Nadrealizm w polityce: W dobie zmotoryzowanej Apokalipsy. *Observer:* Głosy świata: Robert i Bertrand. *Adam Sterbałła:* Rozmowy o wojnie: Działania na morzu. — *Franciszek Biedart:* Wystawy. Wojna 1914—1918. — *Stefan Thermerson:* Vitromagja czyli nowa sztuka symfo-poetyckich widzeń na ekranie. — *Marja Danilewiczowa:* Sprawy polskie w «Notre Combat». — *stth.:* Nowe filmy. — *Marja Pawlikowska:* Szkicownik poetycki. — Extraits et résumés, en français, des articles paraissant dans ce numéro.

PO ZAJĘCIU DANJI

NIEMCY W ELSINORZE

W chwili kiedy piszę te słowa, w chłodny wieczór dn. 10 kwietnia 1940 r., dochodzi mnie zrównoważony głos speakera z paryskiej radjostacji, donoszący o toczącej się bitwie morskiej nad urwistemi brzegami Norwegji między flotą sprzymierzoną a eskadrą niemiecką. Z aparatu radjowego padają nazwy okrętów, sucha statystyka tonnażu, fakty podawane głosem bezbarwnym i matowym. Speaker mówi, że bitwa rozgrywa się podczas silnego wiatru i nawałnicy. Ale komunikat się kończy: przez fale eteru płynie teraz walc Chopina smutny jak śmierć i upajający jak zapach rezedy.

Nie zamierzam zajmować się politycznym rozbiorem wypadków; nie tylko brak mi do nich perspektywy, ale nie sposób mi nawet sformułować o nich chłodnego sądu, tak dalece porusza mnie dramatyczna, arcyludzka strona rozgrywających się wydarzeń. Słyszę głuchy tupot podkutych butów niemieckich, uderzających miarowo po drogach Danji, szczęk rdzawych kotwic niemieckiego desantu w Oslo, odczuwam conradowską atmosferę cyklonu i rozjuszonego odmętu, widzę ludzi w walce z podwójnym żywiołem: wodą i ogniem, ze słoną pianą bryzgającą o burty i płomieniem biegnącym z luf stalowych pancerników - ichtjozaurów. W tej właśnie chwili, w której zasycha atrament na białej kartce papieru rozłożonej przede mną, flotylle zwierają się ze sobą w śmiertelnym uścisku jak za czasów bitwy pod Zamą lub pod Lepanto, marynarze lądują wśród śniegów i fiordów, rozlega się suchy klekot karabinów maszynowych. Zdaję sobie wyraźnie sprawę, że moje minuty toczą się żółwim krokiem a mój ludzki czas człowieka w cywilu nie pokrywa się z nieludzkiem tempem gigantycznego filmu wojny.

Ale niech poetycka wizja wypadków nie przesłania rzeczywistości: na falach morza Północnego idzie gra o moją, o naszą, o ludzką sprawę. Jeżeli drżymy z napięcia, jeżeli patrzymy sobie trwożnie w oczy, jeżeli nasze rozmowy wracają ciągle do tego samego tematu, to dlatego, że nasz los i przyszłość ludzi wolnych rozstrzyga się w tej poetyckiej, lecz jakże nas obchodzącej rozgrywce, dlatego że czujemy instynktownie, że teraz piszą się wielkie i nieodwołalne daty historji, nie tej, pokrytej kurzem i drążonej przez czerwie, ale dyszącej i żywej, w której straszliwe szprychy — chcąc nie chcąc — jesteśmy wplątani.

Owa „drôle de guerre", dziwna wojna natchnienia i improwizacji, przeskoczyła zieloną iskrą krótkiego spięcia z linji Maginota, dymiących rumowisk Warszawy i finlandzkiej tajgi na piaszczyste wydmy Danji i żywiczne świerki Norwegji. Płomień rozprzestrzenia się w Europie, ale pożar ten jest błogosławiony, bo z jego płomieni zrodzi się wolność myśli i ludów. Neutralność — Theodore Roosevelt powiedział: „nigdy nie jest rzeczą szlachetną być neutralnym" — przestała być przynoszącą dochody synekurą, a przeistoczyła się w niebezpieczną igraszkę z ogniem. Cios, wymierzony przez germańskiego gangstera w państwa skandynawskie, przyczyni się do spojenia świadomości wspólnoty europejskiej. Jak pisze Vladimir d'Ormesson, neutralni stosowali dotąd metodę pani Dubarry, która na rusztowaniu gilotyny błagała oprawcę: „Jeszcze kwadrans, panie kacie!". Dn. 9 kwietnia o świcie, gdy niemieckie dywizje przekroczyły granice Danji, złudzenia te pękły jak bańka mydlana. Napad na bezbronne kraje Thorwaldsena i Strindberga, o świetnej kulturze materjalnej i duchowej, rządzone zgodnie z zasadami postępowej demokracji, odbije się potężnem echem w sumieniu świata.

Podchodzę do aparatu i przekręcam guzik. Jak z otwartej żyły, ciągle płynie strumień muzyki Chopina. Moje myśli biegną bez przerwy ku polom min, ku Kattegatowi, ku hamletycznej Elsinorze, po której wśród księżycowych smug błąka się cień smutnego królewicza. „Coś się psuje w państwie duńskiem"... Czyżby szekspirowski książę przeczuł poddanie się bez wystrzału swego państwa? Widzę ulicę Karl Johansgade w Krystjanji, — dziś Oslo, — po której statecznie przechadza się poważny pan o romantycznie płonącej duszy: Ibsen. Norwegja Ibsena nie skapitulowała i na hitlerowskie ultimatum odpowiedziała jak Brand: „Wszystko lub nic". W mojej wyobraźni wyrasta epopea Wikingów. Czyżby dzieje, lubujące się w kaprysnych nawrotach, kazały powtórzyć Norwegji jej epiczną przeszłość? Dokąd wiedziesz nas, historjo, na jakie nieprzeczuwane konstelacje i archipelagi żeglujesz, ty, która obojętnie i wyniośle spoglądasz na nas martwemi oczodołami greckiego posągu i ciskasz w twarz śmiertelnym słowa, niegdyś wypowiedziane przez Turenjusza w przeddzień bitwy: „Drżysz, mój kadłubie, ale trząsłbyś się jeszcze bardziej ze strachu, gdybyś wiedział dokąd cię prowadzę".

JULJUSZ GROT.

ERRATA

Do artykułu Juljusza Grota „Psychologja polityczna Francji" w nr. 4 „Wiadomości Polskich" wkradł się błąd: w w. 34 szp. 3 zamiast: r. 1884 powinno być: r. 1877.

ROZMOWY O WOJNIE

„SEKRETNA BROŃ" HITLERA

W ostatnich czasach mówi się wiele o «sekretnej broni», którą ponoć Hitler trzyma w zanadrzu. Domysły idą w kierunku znanych już wynalazków z dziedziny mechaniki i chemji. Można również pójść innemi drogami, opierając się na mniej lub więcej znanych proroctwach o obecnej wojnie. Nie wyłączając Nostradamusa, którego dwie centurje prawie napewno odnoszą się do toczącej się obecnie wojny (nawiasem wspomnieć należy, że Nostradamus z iście gallicką beztroską zapomniał o Polsce) — wszystkie owe wizje przyszłości mówią o ogniu.

Ogień niewątpliwie stał się dziś głównym elementem walki; lecz byłoby pewną, choć niezupełną nowością użycie go w sposób bezpośredni, z jakichś gigantycznych ogniomiotów. W tej chwili, poza znanemi jeszcze z wojny światowej nie bardzo skutecznemi ogniomiotami, oraz poza pociskami zapalającemi, stanowi raczej niepożądany objaw, towarzyszący wyrzutowi i wybuchowi pocisku.

Jest rzeczą możliwą wzmocnić jego działanie przez specjalny ładunek pocisku, uzyskując przy wybuchu tak wysoką temperaturę, że w ułamku sekundy zwęgli wszystko wokół. Można wreszcie uzyskać to samo w sensie odwrotnym: zupełne zamrożenie znajdujących się w pobliżu ciał żywych przez odpowiednie działanie chemiczne przy wybuchu. Można nakoniec działać gazami, które mieszając się z powietrzem, tworzyłyby w określonej przestrzeni mieszankę piorunującą. W tej przestrzeni nicby się nie ostało słupowi płomienia. Zasięg tego płomienia byłby przypuszczalnie identyczny z zasięgiem zwykłego fosgenu lub chloru, wypuszczanego ze zbiorników, jak to się działo w czasach wielkiej wojny. Ponieważ jednak możliwości tej dziedziny są naogół dobrze znane, można z prawdopodobieństwem 90% oświadczyć, że podobne użycie gazu «piorunującego» jest niemożliwe, czy też że wykonanie techniczne natrafi na nieprzezwyciężone trudności. Lecz to co dziś jest jeszcze niemożliwe, jutro staje się prawdopodobnie, a pojutrze wykonalne. Użycie tego rodzaju ognia znajduje się w stadjum dnia jutrzejszego. Wszystko jest prawdopodobne i ze wszystkiem trzeba się liczyć.

Przypatrzmy się bliżej ewentualnym niespodziankom mechanicznym. Może tu chodzić o nowe typy samolotów, które mogłyby zatrzymać swój lot i zawisnąć nad ściśle określonym punktem; o nowe typy olbrzymy, które zdołałyby unieść na duże odległości niespotykany dotychczas tonnaż bomb. W tej chwili według wiadomości z gazet amerykańskich jedna z konstrukcyj Sikorskiego podnosi 30 tonn ciężaru użytecznego (czytaj: bomb) i może swobodnie lecieć z San Francisco do Szanghaju i z powrotem bez lądowania. Trzy lata temu projekt podobnej maszyny nie był jeszcze wykonalny, dziś oblekł się w realne szaty.

Z frontu sowieckiego doszły nas wieści o czołgach 70-tonnowych, uzbrojonych w ciężką artylerję, jak również o minach powietrznych o własnym napędzie, które na dalekiej przestrzeni rozrzucają pociski zapalające na osiedla.

Nic w zasadzie nie stoi na przeszkodzie, by w powietrzu szybowały eskadry samolotów, naładowanych po brzegi materjałem wybuchowym, bez pilotów, sterowanych drogą radjową, przyczem jako koniuszy tabunu, złożonego z dziesiątek tysięcy koni motorowych, unosiłby się w powietrzu, daleko za niemi czy wysoko nad niemi, lekki samolot, zaopatrzony tylko w stację nadawczą. Wszak Niemcy wprowadzili już sprzęt telewizyjny na samoloty, tak że dowódca baterji na ziemi ogląda spokojnie na ekranie wybuchy swych pocisków przy celu, przekazane właśnie drogą telewizji, i koryguje własne strzelanie. Nic nie stoi również na przeszkodzie, by wprowadzić do walki torpedy ziemne, lekkie czołgi, niosące potężne ładunki wybuchowe, które również kierowane drogą radjową, będą maszerowały na przeszkody i usuwały je własnym wybuchem.

Naturalnie wszystkie te wynalazki bywają piękne w teorji, natomiast w praktyce okazują się znacznie mniej przełomowe i decydujące na polu bitwy; tu jednak najwspanialszą i najbardziej doniosłą bronią jest odwaga osobista żołnierza i jego głębokie przekonanie o słuszności sprawy, o którą walczy. Ale z pojawieniem się niespodzianek mimo wszystko trzeba się liczyć i trzeba przygotować się na ich odparcie. Trzeba zawsze pamiętać o 40 000 Rosjan, porażonych gazem spowodu braku masek.

Tymczasem stwierdzić należy, że stoimy wobec pewnych nowości technicznych, o których jeszcze nie można powiedzieć, czy są praktyczne i czy dadzą rewelacyjne wyniki. Myślę tu o uzbrojeniu samolotów w szybkostrzelne działka średniej mocy (około 100 pocisków 2 — 4 cm na minutę), wreszcie o opancerzeniu gondol i motorów. Jedno i drugie wprowadza i wprowadzać musi zmniejszenie szybkości bombowców. Ponieważ jednak obecnie wiele się mówi i myśli o zwiększeniu zwrotności maszyn pościgowych, kosztem ich szybkości — oba te zjawiska wpłynęłyby na znaczne powiększenie krwawych wyników w walce jednostek w powietrzu.

W wyniku rozważań historycznych wszystkich wojen należy wziąć pod uwagę, że w wojnach nigdy nie pojawiają się bronie, zmieniające rewolucyjnie samą treść walki. Armaty wprowadzone przez Niemców pod Grunwaldem nie wywalczyły zwycięstwa. Czołgi użyte w 1918 r. także nie złamały frontu niemieckiego. Dopiero stopniowy ich rozwój dał sczasem pewne elementy nowej taktyki. Tak też będzie z «sekretną bronią» Hitlera.

ADAM STERBAŁŁA.

KRAJ UMIARU

Haga, w kwietniu 1940.

Dziwny kraj. Niepodobny do żadnego innego. Gdy — przed wojną — jadąc nocnym pociągiem podróżny wyjrzał rano przez okno, nie potrzebował szukać napisów stacyjnych: sam wygląd mijanych domków odrazu wskazywał mu, że już minął granicę.

Wszystko tu jest inaczej, niż u sąsiadów. I pejzaż, chmury na niebie i powietrze, jakiem się oddycha, a przedewszystkiem — ludzie. Długo trzeba mieszkać w Holandji, zanim się zacznie Holendrów rozumieć.

Cudzoziemiec usiłuje zwykle z początku wtłoczyć Holendrów w jakieś schematy. Słyszy się często: Holender, to właściwie rodzaj Niemca, albo: Holendrzy naśladują Anglików, albo: Holendrzy są podobni przecież do Belgów. Nic fałszywszego nad te sądy. Holender jest przedewszystkiem Holendrem, i mało jest chyba na świecie narodów o tak wyraźnie zaakcentowanej indywidualności jak Holendrzy.

Mówi się, że Holender naśladuje angielskie formy życia. Zapewne, pod wieloma względami spostrzeżenie to nie jest niewłaściwe, ale pamiętać się godzi, że to Holandja właśnie była w epoce swojego największego rozkwitu — w XVII w. — wzorem dla Anglji, a nie odwrotnie, i że wiele z tego co dziś jako styl życia angielskiego podziwiamy, Holendrom zawdzięcza swój początek.

Wielkość Holandji znalazła wyraz — zawsze oryginalny — w różnych dziedzinach — walka z żywiołem wodnym, wielkie dzieło kolonjalne, malarstwo, architektura.

Wszędzie cechą genjuszu holenderskiego jest umiar. Wszak kolebką budownictwa nowoczesnego jest Holandja, a jednak nigdzie w Holandji nie widzi się takich ekstrawagancyj stylu jak w innych krajach.

Jedna z najbardziej ciekawych cech życia holenderskiego, to harmonijne splecenie tradycji z postępem. Społeczeństwo holenderskie, to społeczeństwo w dużej mierze ancien régime'owe, osiemnastowieczne, nieprzeorane duchowo przez wielką rewolucję, społeczeństwo poniekąd stanowe, w przekroju pionowym, hierarchiczne w pojęciach i w formach zewnętrznych. Jednocześnie zaś — społeczeństwo to przyswoiło sobie wszelkie zdobycze zarówno techniki jak nowoczesnych urządzeń politycznych, przykrojonych jednak zawsze na miarę swoistą, oryginalną.

Równość wobec prawa, głosowanie powszechne — naturalnie. Ale tradycyjny wpływ pewnych kół, pewnych rodzin nawet. Ogromna powaga i znaczenie Korony. A jak swoiście rozstrzygnięto np. sprawę administracji lokalnej. Rady gminne — demokratycznie wybierane. Przewodniczy jednak radzie burmistrz, który jest urzędnikiem, mianowanym dekretem królewskim. Burmistrz skupia w swoim ręku pełnię władzy — jest on jednocześnie prezesem rady gminnej, prezydentem miasta i starostą. Poza jego administracją — istnieją tylko działy specjalne. Burmistrz awansuje, jak każdy urzędnik, idąc wgórę po szczeblach drabiny administracyjnej, z mniejszych miejscowości do większych. System ten funkcjonuje doskonale.

W stosunkach między ludźmi panuje tutaj prostota, połączona z nader sztywnemi kanonami. Spotkać można w Hadze ministra lub szambelana dworu, albo wysokiego dygnitarza wojskowego, jadącego do swojego biura na rowerze. Zamiast sekretarza osobistego, wpuszcza interesantów poprostu — woźny. Ale jednocześnie, biada człowiekowi, któryby wzorem wschodnim spóźnił się pięć minut chociażby na umówioną godzinę, albo zmącił uświęcony ceremonjał przyjęcia towarzyskiego, nie podnosząc się do wyjścia o godzinie wpół do jedenastej.

Czy Holandja jest krajem idealnym? Napewno nie. I podpatrzeć strony ujemne, często śmieszne, życia holenderskiego, nietrudno, z pewnością łatwiej niż — cechy dodatnie.

Umysł ludzki ma wrodzoną skłonność do złośliwości i «Schadenfreude». Holandja nie jest krajem świętych męczenników, płomiennej egzaltacji. Podobnie, jak inni, Holendrzy dobrze znają i waśni polityczne i wybujały indywidualizm i zagadnienia społeczne; znają chroniczne bezrobocie i kryzysy gospodarcze. Znają wahania hamletyzmu i trudności decyzji w wielkiej polityce. Nie oni jedni. Może nawet zbliżają się do rozstajów decydujących o bycie narodu. I też nie oni jedni.

PEREGRINUS.

W ANTWERPJI
numery „Wiadomości Polskich" są do nabycia w księgarni „Progrès" (66 B, r. du Vanneau),
W LONDYNIE
w biurze M. I. Kolin, 36, Great Russell Street.
●
W celu uniknięcia opóźnienia w otrzymywaniu pisma i zbytecznych reklamacyj
PROSIMY
O PODAWANIE ADRESÓW
BARDZO WYRAŹNEM PISMEM — najlepiej literami drukowanemi.

W najbliższych numerach „Wiadomości Polskie" drukować będą m. in.: **Jana Bielatowicza** «Ś. p. Ignacy Chrzanowski», **Marji Danilewiczowej** «Ponury siew» (niemieckie książki o kampanji wrześniowej), **Zbigniewa Grabowskiego** «To jest inna wojna», **Aleksandra Hertza** «Szlachetczyzna», **Kazimiery Iłłakowiczówny** «Do Matki Boskiej ukrytej», **Aleksandra Janty** «Na froncie powietrznym», **Marjana Kukiela** «Napoleon a dzień dzisiejszy», **Marji Kuncewiczowej** fragmenty powieści «Mąż Róży» («Szkoła», «Noc pojednania», «Śmierć Krzysztofowicza»), **Jana Lechonia** «O polskiej literaturze dramatycznej», **Bolesława Leitgebera** «Londyn i jego Tamiza», **Stanisława Mackiewicza** «Mój artykuł, Parylewiczowa i salon pani Adam», **Bolesława Micińskiego** «O nienawiści, okrucieństwie i abstrakcji», **Zygmunta Nowakowskiego** «Listy z Ameryki», **Ksawerego Pruszyńskiego** «Ich polska Wielkanoc», **Hermanna Rauschninga** «Zwierzenia Hitlera», **Florjana Sokołowa** «Rycerze powietrza» (w gościnie u «Royal Air Force»), **Stefanji Szurlej-Kossowskiej** «Ś. p. Michał Siedlecki», oraz specpalnie dla „Wiadomości Polskich" napisane artykuły **Pierre'a Bernus** («Miejsce i rola Polski w Europie»), **Emile'a Buré** («Wypadki dowiodły, że interesy Francji i Polski są wspólne»), **Geneviève Tabouis** («Polska jutrzejsza»).

Halina Szmolcówna

Londyn roku 1910. Wielką sensacją dnia są występy nieporównanej Pawłowej i Mordkina w najwytworniejszym music-hallu, «Palace». Co wieczór tłumy najelegantszej publiczności, oklaski, kwiaty i

Halina Szmolcówna

pełna wibracji widownia. W licznym zespole baletowym na pierwszym planie młodziutkie, urocze stworzenie, pełne gracji, niebywałej lekkości i rzadkiej na tę młodość wytworności. Nazywa się Halina Szmolcówna i ma zaledwie siedemnaście czy osiemnaście lat.

Jestem oszołomiony całym baletem, wspaniałą harmonją ruchu i muzyki. Dyrektor światowej agencji artystyczno-teatralnej opowiada mi coś o zakulisowych sporach pomiędzy gwiazdami baletowemi i o roli medjatora, której się podjął. Odpowiada wreszcie na moje zapytanie, że ta pełna wdzięku i poezji Szmolcówna — jest Polką.

A na drugi dzień na Russell Square w cudowne czerwcowe południe londyńskie spotykam tego samego dyrektora z moją uroczą rodaczką, z której od pewnego czasu taki jestem dumny. Spostrzega mnie i po chwili przedstawia. Robię się nagle studentem, zakłopotanym rodakiem na obczyźnie, bełkoczę kilka mało inteligentnych komplementów, wreszcie zostaję z nią sam i mam szczęście odprowadzić ją do «Palace» na próbę.

Szmolcówna taką została potem na zawsze w mojej pamięci. Wyrazem polskiej, prostej i pełnej czaru wiosny, zabłąkanej nad Tamizę i błyszczącej dla nudnych Anglików iskrami swojego niezwykłego talentu tanecznego. I te właśnie walory swoje roznosiła po całym świecie. Wszędzie wzbudzając zachwyt świeżością i czystością tonu w swych kreacjach baletowych, obdarzona niezwykłą muzykalnością, po Londynie występowała w Ameryce Północnej i Australji.

W okresie wojny 1914 r. była członkiem zespołu emigracyjnego Teatru Polskiego w Moskwie, poczem wróciła na deski Teatru Wielkiego w Warszawie. Była tego teatru królową, wielką tancerką i doskonałą koleżanką, zawsze oddaną swojej pracy, skromną i zakochaną w swoim zawodzie. Wróciła do tego samego Teatru Wielkiego, który ją jako dziecko wychował, bo miała do niego prawa tradycyjne, pochodząc ze znakomitej rodziny baletowej Rutkowskich, po matce i jej siostrach, z których Marja Rutkowska, niegdyś primaballerina opery warszawskiej i Marijskiego Teatru w Petersburgu, od szeregu lat mieszka w Paryżu i prowadzi tu własne studjum baletowe.

Warszawa kochała Szmolcównę, jej wytworność i lekkość tańca, jej subtelne wyczucie stylu — a wreszcie jej urodę i wierność tradycji klasycznej, której była w tańcu najznakomitszą przedstawicielką.

Od czasu do czasu porywały ją z Warszawy zaproszenia zagraniczne. W r. 1925 tańczyła w Operze paryskiej pod dyrekcją muzyczną Młynarskiego, a następnie podczas trwającego cały tydzień festiwalu muzyki polskiej w Paryżu, w sali Gaveau, a w r. 1928 w podobnym festiwalu przez tydzień w Pradze. Pozatem występowała w Bukareszcie, Sofji, Wiedniu, w r. 1934 brała czynny udział w dekadzie muzyki polskiej w Moskwie, budząc zachwyt tłumnej publiczności swojemi kreacjami, z których «Śmierć łabędzia» była jej wielkim tryumfem.

Zainteresowania Szmolcówny wychodziły jednak ponad jej techniczną i czysto artystyczną działalność jako tancerki. Życie artystyczne i kulturalne stolicy Polski było jej czemś drogiem i bliskiem. Wnosiła do niego swoją nieustającą świeżość i inteligencję, a przedewszystkiem chęć służenia sprawom artystycznym.

Halina Szmolcówna z mężem, Grzegorzem Fitelbergiem

Toteż, gdy w latach upadku opery warszawskiej a z nią także i baletu, należało myśleć o utrzymaniu dobrej tradycji polskiej sztuki tanecznej, Szmolcówna była główną sprężyną w pracach nad zorganizowaniem Tow. Przyjaciół Tańca, którego w dalszych latach rozwoju została prezeską. Rozwijała wówczas energiczną działalność, popierając młode siły baletowe i urządzając pokazy i wieczory poświęcone kulturze tańca artystycznego.

Ugodzona odpryskiem bomby podczas bombardowania Warszawy, gdy przechodziła przez most Poniatowskiego wraz z matką swoją i mężem, Grzegorzem Fitelbergiem, u którego boku przez wiele lat brała udział w nowem życiu myzycznem Warszawy, ginie jako jedna z pierwszych ofiar wojny. Łabędź ze słynnej kreacji tanecznej Haliny Szmolcówny ugodzony śmiertelnie...

RYSZARD ORDYŃSKI.

DWA EKSPERYMENTY BALETOWE

Ruchliwe, pełne dynamiki Tow. Muzyki Współczesnej wystąpiło z bardzo oryginalną inicjatywą. W sali «Archives Internationales de la Danse» został zorganizowany dość osobliwy pokaz baletowy p. n. «Le parc d'attraction — à l'exposition», oparty na muzyce, napisanej przez kilkunastu najwybitniejszych kompozytorów współczesnych z okazji paryskiej wystawy światowej w 1937 r. Szereg tancerek i tancerzy skomponował własną choreografję do poszczególnych tańców, charakteryzując środkami nawskroś baletowemi tematy i tytuły mające nieraz zabarwienie literackie, z wyłączeniem jednak pierwiastków ilustracyjnych.

Przetransponowano więc na język choreograficzny impresję muzyczną Tansmana p. t. «Wielkolud», którą kapitalnie zaprezentował węgierski tancerz dużej miary *Pirochka.* Pokazano na malutkiej scence bardzo dowcipnego «Bąka mechanicznego» z muzyką Harsanyiego, interpretowanego przez świetną parę: *Lamballe'a* i *Arową* (klasyczne pointy i piruety), uroczy «Pawilon alzacki» z muzyką pani Taillaférre, odtańczony przez takich mistrzów, jak pani *Chaviré* i *Kniazew,* wreszcie «Scenic Railway» Honeggera, skomponowany przez panią *Marcus,* i szereg innych obrazów, związanych w jedną całość motywem przewodnim — «conférencierką taneczną» znakomitej pary *Gzowskij — Darsonval.*

Uderzająca była swoboda, pomysłowość i dobry smak, z jakim rozwiązano poszczególne tematy, dość nieraz trudne do interpretacji w granicach ich «samowystarczalności artystycznej», jak np. «Sekwana nad ranem», lub «Pociąg-widmo».

Wielką nowością i atrakcją były dekoracje znanych mistrzów, z *Gonczarową* i *Łarionowym* naczele, wyświetlane na ekranie zapomocą nowoczesnej aparatury typu «latarni czarnoksięskiej».

★

Niemało zainteresowania wzbudziły występy nowoutworzonego «Baletu Polskiego» Zmarzlika w teatrze «Etoile». Publiczność paryska oklaskiwała egzotyczne dla niej «Wesele wiejskei», skomponowane zręcznie i bezpretensjonalnie, tańczone z zadziwiającym temperamentem przez dwudziestokilkuosobowy zespół z *Wyrubową* i *Madeyskim* naczele.

Dużem powodzeniem cieszyły się poszczególne numery charakterystyczne, jak «Marynarz», dające pole do podpisu młodziutkiej *Dubińskiej,* partnerce *Zmarzlika,* «Polka 1900» z uroczą *Winogradową,* oraz szereg solówek, z których na wymienienie zasługuje «Arlekin» z utalentowanym młodzieńcem *Kałużnym,* jak również «Rumba» z panią *de Trebert.*

Miarą rozpiętości programu baletowego była klasycyzująca «Arabeska» na tle muzyki Chopina, tańczona przez główne siły zespołu.

Fascynujące kostjumy wykonała *Karinskaja.* Folklor dla «Wesela» spreparował muzykalnie Morsen.

Po paryskich sukcesach «Balet Polski» rozpoczął objazd prowincji francuskiej od występów w Nicei.

MICHAŁ KONDRACKI.

★

Pod tytułem «Ballet to Poland» ukaże się w najbliższych dniach w Londynie książka zbiorowa pod redakcją wybitnego krytyka A. L. Haskella, zawierająca artykuły, ilustracje i rysunki wybitnych znawców i artystów baletu na tematy związane z udziałem Polaków w wielkim tryumfie baletu rosyjskiego aż po ostatnie czasy. Cały dochód z tego luksusowego wydawnictwa przeznaczony jest na Komitet Pomocy Polskim Ofiarom Wojny. Wśród licznych współpracowników znajdują się m. in. Cyril Beaumont («Trzej polscy tancerze»), Victor Daudré («Polscy współpracownicy Pawłowej») Krzesińska («Debjut Niżyńskiego) i t. d. Poeta-laureat John Masefield otwiera spis rzeczy wierszem «Do polskich tancerzy». Stronę graficzną wydawnictwa opracowali Kay Ambrose, Feliks Topolski, Cecil Beaton, Oliver Messel i in. W książce znajdzie się pozatem około stu nieznanych zdjęć.

Przedsprzedaż wydawnictwa na rynku angielskim ukazuje wyjątkowe zainteresowanie dla tego typu inteligentnej i pomysłowej propagandy sprawy polskiej, nawiązanej do osiągnięć i możliwości naszych w świecie tańca, posiadającego zapamiętałych wielbicieli i wyznawców, szczególnie wśród Anglosasów.

ODCZYTY FRANCUSKIE W BIBLJOTECE POLSKIEJ

Dn. 10 kwietnia b. r. rozpoczął się w Bibljotece Polskiej w Paryżu nowy cykl odczytów, poświęconych zagadnieniom politycznym polskim i Polski dotyczącym. W latach ubiegłych w toku analogicznych cyklów prelekcyj, ogłaszanych następnie drukiem, omówiono sprawę dostępu Polski do morza, zagadnienia Śląska polskiego, Pomorza, Prus Wschodnich i stosunki polsko-litewskie.

Cykl tegoroczny składa się z 9 odczytów, omawiających dążenia ekspansywne Niemiec na wschodzie Europy. Cykl zagaił w dn. 10 b. r. André Bellessort, sekretarz dożywotni Akademji Francuskiej, poczem prof. Henri de Montfort wygłosił odczyt „Zakusy Niemiec w basenie morza Bałtyckiego".

Dn. 17 kwietnia redaktor „Illustration", M. L. Naudeau, mówić będzie o zamiarach niemieckich w dorzeczu Dunaju i w basenie morza Czarnego. Dn. 24 b. m. zabierze głos prof. Edmond Vermeil, dyrektor Instytutu Studjów Niemieckich Sorbony, na temat stosunków politycznych i kulturalnych świata germańskiego, Polski i Litwy od w. IX do r. 1795. Odczyt czwarty wygłosi dn. 1 maja prof. André Tibal, charakteryzując politykę Niemiec w stosunku do Rosji w w. XVIII i XIX.

Odczyty odbywają się w Bibljotece Polskiej (6, quai d'Orléans) o godz. 18.

Korespondencja

T. P. Nie skorzystamy.
Irma K. Nie skorzystamy.
R. G. Z nadesłanych wierszy nie skorzystamy.
Z. Iwo R. Nie skorzystamy.
St. B. w Bressuire. Nie skorzystamy.
M. Dł. Nie skorzystamy.
St. Ż. Z artykułu, niestety, nie będziemy mogli skorzystać.
Mgr. L. Kn. w Luçon. Umieścimy, ale zastrzegamy skróty.
W. K. W. Nie skorzystamy.
E. C. S. w Londynie. Brak miejsca nie pozwala nam na skorzystanie z korespondencji.

Redaktor: *Zygmunt Nowakowski*

Le gérant : *Gabrielle Ricordeau*

Imprimerie Coopérative Étoile
18-20, Fbg. du Temple, Paris (11e)

EXTRAITS ET RÉSUMÉS, EN FRANÇAIS, DES ARTICLES PARAISSANT DANS CE NUMÉRO

Au sommaire du n° 6 des « Nouvelles Polonaises » figurent les textes suivants : l'article de M. Jan Sasse « Ce fut à Dantzig que s'alluma la guerre » ; les poèmes de M. Antoni Słonimski et de Mme Marja Jasnorzewska ; la conférence de M. Jan Lechoń « La campagne dans la littérature polonaise contemporainne » ; le feuilleton de M. Rafał Malczewski « Sensibilité inopportune » ; les souvenirs de M. Edward Krakowski « Charles Péguy, personnification héroïque de la France » ; les articles d'Observer (« Le bilan »), de M. Adam Sterbałła (« Notes sur la guerre »), de Peregrinus (sur la Hollande), de M. Juljusz Grot (« Les Allemands à Elsinore ») ; le souvenir nécrologique de la danseuse polonaise, Halina Szmolc, par M. Ryszard Ordyński ; le compte-rendu musical de M. Michał Kondracki.

Nous donnons ci-dessous les résumés de quelques articles qui pourraient interésser, plus particulièrement, le lecteur français.

Ce fut à Dantzig que s'alluma la guerre

Depuis le retranchement du Reich, de Dantzig et de son territoire : clause incluse dans le Traité de Versailles, l'Allemagne, en outre d'autres mesures d'obstruction, a tout fait pour entretenir un contact étroit entre la population germanique de la Ville Libre et entre l'armée et la flotte allemandes. Les relations avec l'armée ne pouvaient être, comme de bien entendu, que malaisées et sporadiques, sous forme de visites privées faites par des militaires et de courts séjours pendant les vacances. Par contre, les liens entre la ville de Dantzig et la flotte allemande étaient faciles à nouer.

Toutefois, vu les rapports polono-germaniques, un tant soit peu tendus dans la période des années 1918—1934, la venue de la flotte allemande dans le port de Dantzig n'eut pas lieu, malgré les démarches réitérées, dans ce but, des autorités du Reich.

Après 1933, ou, pour préciser, après la nomination de M. Rauschning à la présidence du Sénat dantzikois, époque qui correspondait à l'amélioration sensible des rapports entre Dantzig et la Pologne, les sphères polonaises n'ont pas pu décemment garder une attitude intransigeante, donc hostile au vrai, en face d'opiniâtres suggestions de l'Allemagne, touchant la visite de sa flotte de guerre dans le port dantzikois. Et cela d'autant plus que ces suggestions, plus ou moins discrètes, coïncidaient avec une politique franchement (ou faussement) amicale du Reich envers la Pologne.

Et, dès lors, les visites se succédèrent, précédées cependant par des demandes préalables adressées courtoisement par le gouvernement du Reich. En 1939, au mois de Mai, les autorités allemandes envoyèrent à la République polonaise, tout comme les années précédentes, une requête pour que le Gouvernement de Varsovie permit la venue du croiseur « Königsberg » dans les eaux de Dantzig. La Pologne, tout autant d'ailleurs que les Puissances amies ou alliées, a pris cette démarche du Reich comme une preuve de bon voisinage, sans y voir malice. L'arrivée du croiseur devait s'accompagner du protocole habituel ; cependant, cette fois-ci, la marine polonaise n'a pas considéré comme nécessaire d'envoyer un de ses vaisseaux, en guise de bienvenue, pour la réception du visiteur allemand.

Est-ce par contre-coup, est-ce pour d'autres raisons, il fut annoncé par la presse dantzikoise, à la date même de la visite attendue, un contre - ordre : le croiseur « Königsberg » ne viendrait pas, à cause de légères avaries ; mais, à sa place, mouillerait l'ancre dans le port, le 25 Août (1939), à 9 h. du matin, le croiseur «Schleswig-Holstein», qu'on savait armé de 6 canons de 28 ctm. et de 8 pièces de 15 cmt., et ayant à bord un millier d'hommes, environ. Comme place de mouillage a été désigné le bassin du Port-Neuf, vis-à-vis de la base polonaise de déchargement, sur la presqu'île de Westerplatte.

Le jour même de l'arrivée du vaisseau, un officier de la marine allemande, escorté de 4 soldats, tous dûment armés, vint arrêter le chef des pilotes et de la police du port, le commandeur Ziółkowski, un Polonais. Simultanément, tous les pilotes polonais furent relévés de leurs fonctions. A 9 h. le « Schleswig-Holstein » arriva. Mais, chose étrange, inexplicable, une heure plus tard, l'officier qui antérieurement mit aux arrêts le commandeur Ziółkowski vint le prier de reprendre son poste, en lui adressant des excuses : un fâcheux malentendu dans le tohu-bohu des ordres confondus et mal exécutés. Pourtant, il n'a point dit comment et de quel droit il se trouvait là, en service.

Trois jours se passent, on est le 28 Août (1939), et la presse locale annonce que, par la décision du commandant du croiseur « Schleswig-Holstein », celui-ci resterait mouillé, un certain laps de temps, dans le port de Dantzig, pour réparer quelque avarie et pour compléter ses approvisionnements. C'est alors que le vaisseau changea de position et se mit juste en face de Westerplatte.

Et ce fut le 1 Septembre qu'échoua au croiseur « Schleswig-Holstein » l'ignoble tâche d'ouvrir les hostilités, sans préavis, sans déclaration de guerre, par un traître bombardement qui précéda d'une heure l'entrée de l'armée allemande sur le territoire polonais.

Ici apparaît le rôle sublime de Westerplatte, rôle héroïque dévolu jadis aux légendaires Thermopyles. Cette toute petite presqu'île (800 m. sur 200 m.) se trouve à l'embouchure même de la Vistule, à l'endroit nommé Port-Neuf (Neuhafen). Un mur de briques la sépare du grand port, et elle servait tantôt encore de base de déchargement pour le trafic polonais, n'ayant d'ordinaire, comme garnison, que 88 hommes, y compris les officiers. Au mois d'Août (1939), Westerplatte comptait 171 soldats et 5 officiers, comme troupes.

A 5 h. du matin, le croiseur allemand tira de toutes ses pièces sur ce coin de terre ; et quelques instants après rien ne restait des bâtiments de la presqu'île, rien que des décombres. La garnison se retira alors dans les caves et mit en action les trois canons de tout petit calibre, des fusils-mitrailleurs et des simples fusils, contre un tir intense venant du croiseur, de la terre et de l'air. Ce fut pendant 9 jours que lutta victorieusement Westerplatte, et ce ne fut que le 9 Septembre que la place succomba, en laissant aux mains des Allemands une terre labourée par les obus jusqu'aux entrailles, couverte de gravats et de troncs d'arbres déchiquetés, et, en plus, cent et quelques dizaines de cadavres, et quelques dizaines de grièvement blessés.

La campagne dans la littérature polonaise comtemporaine

Nombre de lettrés polonais se croient contraints à se demander si la prose polonaise ne manque pas de quelque facteur qui lui aurait donné un caractère bien personnel, l'aurait rendue originale sans restriction et, en même temps, accessible au lecteur étranger, facteur essentiel dont la présence lui assurerait une excellence toute particulière, la distinguerait, avec bonheur, des autres grandes proses et la ferait entrer, d'emblée, dans leurs fastes. C'est à ce prétendu manque, chez elle, d'une physionomie à la fois individuelle et universelle que les zoïles sont prêts à attribuer le rôle relativement insignifiant qu'elle semble jouer dans le monde.

Or, l'affaire, dans le fait, se présente différemment, retorque M. Jan Lechoń. Ce que les œuvres de prose polonaise contiennent d'authentiquement neuf, de singulier, de puissant reste quasi incommunicable et prédestiné, hélas! à ne pouvoir être goûté que de ceux qui, connaissant à fond la langue, sont à même d'apprécier les beautés magiques du verbe, ces beautés musicales et pittoresques, chaudes, vibrantes, à multiples résonances que la poésie partage avec la prose, et qui ne saurait être transvasées point ou guère d'un idiome dans un autre, sans d'irréparables dommages.

En réalité, les richesses propres à une inspiration spéciale, à un génie distinct abondent dans les lettres polonaises. Où a-t-on peint la nature, avec tant de couleur et de relief?... Quels incomparables paysagistes, chacun à sa façon, que Żeromski, Weyssenhoff ou Sienkiewicz!... Et cette foule de gens à la saveur du terroir, gens passionnés, le sang à fleur de peau et la tête près du bonnet, insoucieux et expansifs, quelquefois extravagants, parfois risibles mais toujours pleins d'un charme spécifique, qui peuplent les romans polonais et qui se heurtent ou se lient sur la scène, au théâtre!

Par surcroît, les tendances, les idées, les émotions s'expriment, dans la littérature polonaise — tant poésie que prose — avec une mâle vigueur, avec une belle et dense éloquence: vertus et mérites qui devraient, en bonne justice, mettre les poèmes, les romans et les pièces théâtrales polonais au premier rang des productions similaires, parmi les lettres mondiales.

Ce qui colore la littérature polonaise en une teinte à part, c'est la prépondérance de l'élément rural: comme décor, la campagne, comme types — le gentilhomme campagnard et le paysan, en mille variétés. Cet exotisme «sui generis» ne se laisse pas transporter aisément d'une contrée à une autre, étant très fort attaché à la glèbe, et, une fois dépouillé de son vêtement verbal, naturel, adéquat et si adhérent, perd les trois quarts de son intérêt vital. Et tandis que, partout ailleurs, les fictions romanesques se meuvent, pour la plupart, au sein des cités, les héros et les héroïnes des poètes et des romanciers polonais vivent leurs destinées dans des gentilhommières ou sous des toits de chaume, principalement. De là, la prépondérance des sites agrestes: les forêts, parcs, jardins, prés, au soleil ou sous la lune, le long des quatre saisons de l'année, servent de toile de fond, presque toujours, à la comédie ou au drame humains.

Dans ce genre difficilement adaptable, la littérature polonaise compte de nombreux chefs-d'œuvre, pour ne nommer que «Pan Tadeusz», de Mickiewicz; «Les paysans», de Reymont ; «La légende des Tatra», de Tetmajer ; « La noce », de Wyspiański ; « L'avant-poste », de Prus ; « La marte et la fille », de Weyssenhoff.

Charles Péguy, personnification héroïque de la France

M. Edward Krakowski offre une gerbe de souvenirs personnels et la dépose, en pieux hommage, au pied de la statue que dressent à Charles Péguy, de concert, tous ses amis fervents, tous ses admirateurs au cœur fidèle, tous les habitués de cette boutique sordide et magique d'où sortirent tant de hauts enseignements de justice, de rude noblesse, de poésie pensive, pour animer le monde.

Elle était postée, la minuscule librairie de Péguy, face à la Sorbonne et, en la combattant, la complétait bellement. C'était là, sous les auspices de Péguy, que s'élaborait, par un mélange heureux de diverses doctrines, y compris le socialisme (socialisme plus proche d'un Prudhon que d'un Marx, commente M. Krakowski) une harmonieuse synthèse qui s'identifiait à la France même, France traditionnelle et révolutionnaire à la fois, philosophique et artiste.

La violente parole du maître de céans fustigeait, fort souvent, les gens et les choses, non point par l'esprit de haine, mais par un amour intransigeant et pur. Bergson, que cite l'auteur, aurait dit, en parlant de Péguy, qu'il était fait de la substance dont les héros et les saints sont modelés.

En effet, sa vie et sa mort furent saintes et héroïques. Et M. Krakowski s'incline devant Péguy-poète et devant Péguy-soldat, tout comme les autres.

Bilan

Dans sa rubrique «Les Voix du Monde», Observer dresse aujourd'hui un bilan de nos possibilités, de nos disponibilités, de nos espérances.

Il a parlé de la guerre à une foule de gens, à un boxeur, entre autres, un boxeur neutre, américain au surplus. Dans son vocabulaire professionnel, l'athlète qualifie le gigantesque conflit actuel de « championship », combat pour le championnat du monde, qui ne saurait se règler en trois ou cinq « rounds ». Il en faut, pour le moins 15, terminés par un formidable « knock out ».

Notre boxeur a pleinement raison. Après les sept mois de la guerre, en examinant la situation on n'arrive, pour employer le langage sportif, qu'au second round, tout au plus. Ce n'était jusqu'ici, de l'avis de tout le monde, qu'une égalisation des forces des Alliés par rapport à celles de l'adversaire.

Donc, en résumé, la course vers la victoire des Allemands et des Alliés s'annonce toute favorable aux uns, et le « knock out » paraît être assuré aux autres.

Halina Szmolc

Comme une des premières victimes de la guerre, tomba blessée à mort par un éclat de bombe — pendant le bombardement de Varsovie — Mme Szmolc-Fitelberg, une danseuse de grande classe.

En 1910, Mlle Szmolc, âgée alors de 17 ans, débutait au fameux « Palace » de Londres, dans l'ensemble de la Pavlova ; en 1925, elle danse à l'Opéra de Paris et dans un gala à la Salle Gaveau, avec un brillant succès.

Plus tard, à côté de son mari, Grzegorz Fitelberg, l'eminent chef d'orchestre, elle prend une part très active dans la vie musicale de Varsovie.

C'est à sa mémoire que M. Ryszard Ordyński consacre son article dont nous extrayons quelques détails sur sa carrière d'artiste et la tragique annonce de sa fin.

ANGLO-POLISH ART CORPORATION LTD
VICTORY HOUSE
99, Regent Street — London W. 1.
organizując
FESTIVAL MUZYKI I BALETU POLSKIEGO
oraz
FILMY O CHARAKTERZE POLSKIM
uprasza wszystkich artystów
we właściwych zakresach o zakomunikowanie miejsca swego pobytu

KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU
LIBRAIRIE POLONAISE A PARIS
123, Boulevard Saint-Germain, Paris (VIe)
Tél. : DAN. 04-42
MÉTRO : Odéon lub Saint-Germain-des-Prés
POLECA KSIĄŻKI W JĘZYKU POLSKIM I FRANCUSKIM PO CENACH ŚCIŚLE KATALOGOWYCH
OBECNIE POSIADAMY NA SKŁADZIE NASTĘPUJĄCE PODRĘCZNIKI DO NAUKI OBCYCH JĘZYKÓW:
1000 słów po francusku. Najłatwiejszy samouczek języka francuskiego w 34 lekcjach z 94 ilustracjami. Opracowali C. Buchholtz, dr. E. Wallenberg i M. Goryński fr. 100.—
Z. FRENKIEL — Mówmy po francusku. Wyd. trzecie .... fr. 24.—
B. HAMEL — Le français moderne à l'usage des Polonais. W oprawie kartonowej (ukaże się w najbliższych dniach) fr. 25.—
Paul HARDY — Moja metoda. Najłatwiejszy i najnowszy podręcznik do nauki języka francuskiego. W oprawie kartonowej (ukaże się w drugiej połowie marca) .... fr. 24.—
S. W. PIWAR — Praktyczna metoda języka angielskiego do nauki z pomocą lub bez pomocy nauczyciela ..... fr. 36.—
B. HAMEL — Podręczny słownik francusko-polski i polsko-francuski z wymową fonetyczną.
Część I: francusko-polska fr. 65.—
Część II: polsko-francuska fr. 65.—
J. STANISŁAWSKI — Słownik angielsko-polski i polsko-angielski. Oprawa płócienna. Całość w jednym tomie .... fr. 100.—
Prof. M. H. DZIEWICKI — Słowniczek-karzełek polsko-angielski i angielsko-polski, z wymową. W oprawie płóciennej ..... fr. 27.—
Ponadto posiadamy na składzie bogaty wybór słowników obcojęzycznych oraz książek ze wszystkich dziedzin.
Na żądanie katalogi polskie i francuskie bezpłatnie ze wszystkich dziedzin i specjalności.
ZWRACAJ SIĘ Z PEŁNEM ZAUFANIEM DO KSIĘGARNI POLSKIEJ W PARYŻU